

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec

ROK LXII

WARSZAWA, DNIA 22 CZERWCA 1929 ROKU

NR. 25

TREŚĆ NUMERU: Kobieta wczoraj i dziś — *Janina Strzelecka*. O poziom szkół żeńskich — *Dr. Marja Kuźmińska*. Poezje: „W noc świętojańską“, „Wianki“ — *Lucyna Krzemieniecka*. Zawalidroga (c. d.) powieść — *Herminja Naglerowa*. Historia młodzieńczej miłości generała Józefa Bema — *Włodzimierz hr. Bem de Cosban*. Święta z Medjolanu — *Elesta*. Z głębi serca — *Stefanja Podhorska-Okołów*. Z teatrów — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu — *Z. N. R., H. S. i N. J.* Dym z papierosa — *Wanda Borudzka*. Jak pracują kobiety — *Zofja Miszewska*. O systematyczności i porządku — *M. Dobrowolska*. Pielęgnacja szparagów po zbiorze — *Zofja Wróblewska*. Pamiętajmy o zimie — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Korespondencje. Dodatek „Nasza Mównica“. Dodatek „Mody i roboty“. Rękawy i przyzwoitość — *Well*. Dodatek powieściowy: „Głos krwi“ — *R. Hichens*. Arkusz wzorów.

KOBIETA W CZORAJ I DZIŚ

„Królestwem kobiety jest dom“. „Przeznaczeniem — być osłodą życia mężczyzny“ i t. d.

Te i tym podobne aforyzmy powtarza się wciąż jeszcze wkółko z dobrą wiarą, lub bez wiary, w bezmyślnem wspomnianiu... owej szanownej ruiny, przesłaniającej horyzont tym wszystkim, co w umarłym „wczoraj“ wpatrzeni, ciągle jeszcze o dniu dzisiejszym, jako o epoce „przejściowej“ mającą. Epokę przejściową do czego? Do tego, co było, czy do tego, co się stanie? Od samolotu do dyliżansu, czy od autobusu do aerobusu?

Zanim przejdę do owej przyszłości, w tę czy inną stronę kierowanej, chciałabym rozważyć owe nieodparte tezy, powyżej przytoczone, owe kamienie węgielne „ancien régime'u“ w sensie roli kobiety. Będzie to, oczywiście, pobieżna tylko próba przeprowadzenia analogji między tem, co było, a tem, co jest; próba analogji między ową kobietą przedwojenną, a tą współczesną; jej rolą w rodzinie, której była ongi cementem, a której dzisiaj, podobno, rozkładu przyczyną się stała.

„Królestwem kobiety jest dom“. Jakiej kobiety? Czy tej tylko, co do warstwy owych „10 tysięcy od góry“ należy, czy tej przeciętnej, średnio zamężnej ziemianki, lub mieszcanki? czy wreszcie, od t. zw. inteligentki począwszy, na proletariuszce skończywszy, co owo berło królewskie mocną dłońią dzierży, a raczej dzierżyła? I na czemże owo królowanie polegało? Jeżeli chodzi o dwie pierwsze kategorie, to atrybucje władzy ograniczały się do prowadzenia domu na dużą skalę, lub mniejszą stopę, do utrzymywania pochłaniających niekiedy mnó-

stwo czasu stosunków towarzyskich i do wychowywania dzieci. Wiemy wszyscy, że przeważnie wyręczała się owa „królowa“ w 1-szym wypadku sztabem szafarek, w 2-im — nauczycielek, i tylko, jeżeli chodzi o stosunki towarzyskie, była nie do zastąpienia. O walorach tego życia towarzyskiego, które dzisiaj spada do minimum i ogniskuje się coraz częściej po kawiarniach i dancingach, niema co mówić.

Dawniej, zapewne, miało ono niekiedy doniosłe znaczenie, dość wspomnieć o roli całego szeregu salonów literackich. Ale te „salony“ były nieliczne naogół. Treść życia towarzyskiego była nikła i pusta, dziś jest wulgarna. Owe „królowe“, wolne od pracy zawodowej, czy społecznej panie, zabijały i zabijają zawsze skutecznie czas przez kilka godzin dziennie po kominkach dawniej, po „Ziemiańskich“ dzisiaj, „spotykając się ze sobą“. I nieprawdą jest owo twierdzenie, jakoby tak ciągle i zawsze w to ognisko domowe dmuchały. Nikomu jednak na myśl nie przyjdzie... nie szanować tych rozpróżnionych, pustych, w dziedzinie mody lub flirtu niezmęczonych działaczek — one są przecież takie... kobiece!

Przypatrzmy się, jak spełniają one swój, jak to się zwykle mówi, „najszczytniejszy obowiązek“ wychowywania dzieci.

Dawniej polegało to wychowywanie po większej części na tresurze, na urabianiu duszyczek dzieci na obraz i podobieństwo swoje za pośrednictwem wszelkiego rodzaju panien Maryj, Karolin, czy Klementyn i pokój dziecinny był częstokroć bardzo daleko od pokoju mamusi. Dzisiaj — przedszkole, kom-

plet, potem gimnazjum, plac sportowy, harcerstwo, wychowanie fizyczne i t. d. — zabiera dzieci, czy młodzież na wiele godzin z domu.

Pobieżne te, oczywiście, wywody o rzekomej wartości kobiety przedwojennej, z tych dwu pierwszych kategorii, mogłabym z łatwością potwierdzić, przytaczając mnóstwo typów z naszej powieści klasycznej, od Żmichowskiej począwszy, na Orzeszkowej i Żeromskim skończywszy. Bez wątpienia, w masie tych przeciętnych, jakże często pustych i bezdusznych lalek! były liczne wyjątki, typy przepiękne, niezwykle dodatnie; ale ogół kobiet daleki był od ideału; przedewszystkiem w sensie reprezentowania walorów wychowawczych, walorów wrodzonych, bo o jakimś nabywaniu wiadomości o duszy dziecka, o jakimś studjum w tej mierze — mowy nie było z tej prostej przyczyny, że t. zw. Stulecie Dziecka od bardzo niedawna się zaczęło, a obwieściła je urbi et orbi kobieta z gatunku współczesnych, Ellen Key.

A zresztą, to odwieczne mniemanie, że dość być matką, aby nabyć zdolności pedagogicznych, jest naprawdę conajmniej mylne. Wynikałoby stąd, że każda kobieta — to urodzona wychowawczyni. Jak dalece odbiega podobna teza od rzeczywistości, wiemy wszyscy aż nadto dobrze. I oto pierwsza próba porównania kobiety dawnej z dzisiejszą wypada na korzyść ostatniej bezwarunkowo.

Kobieta współczesna (nie ta z „Ziemiańskiej”) niesłychanie więcej interesuje się sprawami wychowania, higieny, psychologii; o wiele więcej stara się współżyć ze swymi dziećmi, nie naginać ich do swego szablonu, ale pomagać do osiągnięcia możliwie największego rozwoju cech indywidualnych. Olbrzymia praca, dokonana przez kobiety wielu krajów w dziedzinie opieki nad dzieckiem, słynna deklaracja genewska, której inicjatorką jest kobieta, setki nazwisk kobiecych, sławnych w dziedzinie pedagogii i psychologii wychowawczej — są wymownym świadectwem postępu, który się dokonał za sprawą kobiety „współczesnej”.

Wszyscy zwolennicy wyolbrzymionej roli przedwojennych kapłanek domowego ogniska przedziwnie zapominają o milionowych rzeszach tych kobiet, którym uśmiech losu, w sensie niezależności materialnej, nie przypadł w udziale, które w pocie czoła przez szesnaście godzin na dobę pracować musiały i muszą, czy to zarobkowo, a potem w domu, czy tylko w domu lub około „obejścia”.

O co tyle hałasu? Te kobiety z „niższych” sfer pracowały od niepamiętnych czasów; te niezamożne żyły, prały, zmywały, gotowały, obcierowały i któż to ich pracę ocenił? Komu na myśl przyszło podnieść tę męczarnię szesnastogodzinnego „dreptania” do godności pracy wogóle? Któż to upomniał się dla nich o prawa człowieka? Może wdzięczny mąż, brat, syn? Ach, mój Boże! gdzież ten kult,

w czemże się wyrażał? Chyba w epitafjum nadgrobnem, boć przecież od paru lat zaledwie kobieta przestała być traktowana, jak małoletnia, która nawet majątkiem osobistym nie mogła rozporządzać, umowy żadnej zawrzeć, weksla podpisać!

Gdzież to poszanowanie praw matki, skoro kobiecie, żyjącej w separacji, czy rozwiedzionej, któryś tam artykuł pozostawia dziecko tylko do siódmego roku życia, a potem zabiera je mąż, w olbrzymiej ilości wypadków ponoszący winę za rozbicie ogniska domowego i jakże często składający owo berło „królewskie” w niepowołane ręce!

Oślawiona zasada podwójnej moralności świeci tu triumf prawdziwy, jakże wątpliwie i bezwstydnie zasłużony! Ta sama zasada, która nieszczęsną uwiedzioną dziewczynę stawia pod pręgierz obłudnej i okrutnej opinii — sprawcę i współwinnego ochrania całkowicie drugim wiadomym artykułem, zabraniającym dochodzenia ojcostwa.

Tak wygląda w świetle rzeczywistości fakt moralnego i faktycznego równouprawnienia, odpowiedzialności obu płci. I nietylko w poruszonych powyżej, a t. zw. sprawach „drażliwych”, ale wszędzie, na każdym miejscu — to wielkie upośledzenie, ta wielka krzywda kobiety aż bije w oczy i mimowoli przypominają się słowa Mickiewicza, skierowane do kobiet: „byłyście dotąd niewolnicami, dawano wam rolę podrzędną, najdogodniejszą dla męża”, a przecież... „kobiety są powołane do równości; i duchy nie mają płci, są sobie równe i stosownie do różnic organizacji wezwane do czynów odpowiednich”.

W przerażającej pasji zakłamywania się, w jakimś bałwochwalczym, bezkrytycznym zachwycie nad wszystkim, co było, co miało czas przejść w stan dostojnej marynaty, scukrować się, że tak powiem — podnosimy do godności jakiegoś tabu te wartości, które przy pierwszej próbie rzetelnej analizy w proch się rozsypują.

Doprawdy, ta zmora przeszłości ciąży nad nami, jak klątwa, zaciemnia wzrok, przeszkadza w ocenie spraw żywych, istotnych, zabija w nas radość życia, do której tyle powodów mamy. Przecież jednym z powodów tej radości jest chyba to, że... niewolnice poczynają stawać się wolnymi ludźmi i, że otwieramy szeroko oczy na ten wielki świat boży, nie chcąc wrócić do klatki, bo niema po co.

Kobieta wyszła z domu — kto wie, po to może, aby pomóc stworzyć dom dla wszystkich? wyszła z domu, stanęła do mozolnej pracy, nietylko troską o chleb dla swoich dzieci powodowana, ale może i troską o lepsze życie dla wszystkich dzieci. Wyszła z domu, bo wyszły zeń i jej dzieci; wyszła z domu, bo jest w nim prawie zawsze sama, bo dziś życie tak się układa, że i rola „towarzysza wędrówki doczesnej” ogranicza się do minimum udziału we wszystkich jej sprawach, zainteresowaniach, pracach i troskach. Jest zawsze sama, bo, pomijając posie-

dzenia, pobiurówki, sesje etc. — restauracja, bridż, klub, czy kasyno absorbuje owego towarzysza do tego stopnia, że rozmowa w ważnych nawet sprawach skutecznia się przez telefon. Jakże można zamykać oczy i na kryzys, jakiemu podlega dziś sprawa małżeństwa? Przecież widzimy, że w olbrzymiej ilości ludzie tylko **mieszkają** ze sobą, ale **współżyją** coraz rzadziej i coraz uboższe jest to współzycie. Czy i to wina kobiety?

Daleka od sentymentalizmu, twierdzę stanowczo, że ten zupełny brak życia uczuciowego, tak niezbędnego dla prawdziwej kobiety, musi przecież siłą instynktu samozachowawczego pobudzić jej aktywność w kierunku wyladowania energii, celem zastąpienia życia uczuciowego innym ekwiwalentem, którym dziś dla mnóstwa kobiet staje się właśnie praca — czy to zawodowa, czy społeczna. Ktoś zapyta: — a dzieci? — Na innym już miejscu wspomniałam, że przedszkole, szkoła, plac sportowy etc. etc. redukuje w dużym stopniu pracę kobiety, jako wychowawczynie. A zresztą, czemuż to straszliwie odpowiedzialne zadanie wychowywania tylko na jej barki składać? Jeszcze raz powtarzam, że nie wystarcza być matką, aby stać się odrazu pedagogiem i dlatego twierdzę stanowczo, że idea harcerstwa, wszelkich Kół młodzieży Czerwonego Krzyża, wychowania fizycznego etc. jest próbą stworzenia równoważnika nie wystarczających już wartości wychowawczych rodziny, która przeżywa poważny kryzys, i niedlatego, szanowni panowie, że kobieta wyszła z domu, ale dlatego, że zachwiały się wogóle wszelkie uświęcone wartości.

Jeżeli przez długie, straszliwe lata świat cały (przez was rządzony) podlegał jednemu jednemu prawu niszczenia — to trudno, aby jedna tylko rodzina ostała się nienaruszona. Wolno, bardzo wolno przemija okres chaosu, wylaniają się nowe formy i nowe idee; narzuca je samo życie, a tej fali nie powstrzyma najbardziej gromadny lament i ręk załamywanie nad tem, co jest, lub, jak jest.

Czy chcę przez to powiedzieć, że rodzina upada? W dawnym rozumieniu — tak. Oparta na bezwzględnej podporządkowaniu dzieci rodzicom, żony mężowi, oparta na niewolnictwie kobiety — upada stanowczo. Skończyło się bezpowrotnie „wydawanie zamąż“, skończyło się już okropne niekiedy rozporządzanie losem córek, skończyły dawno śliczne „sielanki“ z komedji Bałuckiego, czy Blizińskiego (co za galerja obrzydliwych typów w tej „świećlanej“ przeszłości!). Musi się skończyć również i dzisiejsza anarchja, w sensie rosnącej w zatrważającym tempie owej rozwodomanji.

Tak, to są czasy przejściowe, ale nie do dawnego porządku. Coraz bardziej dojrzeźwa w kobiecie to przeświadczenie, że nie na podporządkowaniu siebie mężowi i dzieciom, nie na ślepej posłuszeństwie

i oddaniu budować należy fundamenty rodziny (dotąd tak było naogół i te „królowe“ — to wymysł poetów). Na równości przede wszystkim, pod względem moralnym i materialnym, na równości praw i obowiązków. Dawniej znosiła kobieta (ach, jak często!) istne piekło udręczeń, bo i co miała robić? Żadnego przygotowania do życia samodzielnego, żadnego wykształcenia zawodowego. Niedobre małżeństwo, zawierane w olbrzymiej ilości wypadków w obawie przed staropanieństwem, stawało się męczarnią i lepiej już nie wspominać tej dawnej atmosfery. Dziś stajemy coraz lepiej i poważniej przygotowane do trudu życiowego; zaczynamy rozumieć wartość życia osobistego, jego pełnię, i wiemy doskonale, że stokroć więcej możemy dać dzieciom, lepiej, rozumniej je wychować, nie pełniąc roli tej pierwszej „do wszystkiego“.

Coraz bardziej zdajemy sobie sprawę z konieczności reformy wychowania, w duchu kształcenia w córkach naszych godności ludzkiej, coraz bardziej rozumiemy, że należy je wychowywać **na ludzi**, a nie tylko na... żony. Bowiem tylko kobieta-człowiek może sobie zdawać sprawę z ważności swoich obowiązków, rozumie, co to znaczy odpowiedzialność. Coraz bardziej kształcimy w córkach naszych poczucie samodzielności, aby je uchronić przed niedolą tych, co, kapitalizując wszystko w jednostce, bankrutami zostały.

Właśnie zwalczamy coraz energiczniej ową tezę: „Przeznaczeniem kobiety jest — być osłoda życia mężczyzny“. Co za upokarzające przeznaczenie! I jaka przetrudna rola w owej ciężkiej sztuce małżeństwa, które wymaga wiecznie arcytrudnej gry! Tu niema urlopów dla owej... królowej. Tu trzeba grać od początku do końca, aby utrzymać się na wysokości owej „osłody“. I jedno jest pewnikiem: nie królują te najlepsze, te najgodniejsze, ale właśnie bardzo poślednie, które posiadły lub udają kunszt... oddziaływania w tem, czy innem znaczeniu na mężczyznę.

Powiedział ktoś, że „dobre“ żony są nudne, złe — interesujące. Może wreszcie zrozumienie dla idei żony-kolegi, żony-towarzysza, mającej pełne poczucie swego człowieczeństwa, stworzy typ żony dobrej i interesującej jednocześnie. Może nareszcie zwróconą zostanie uwaga na konieczność wychowywania młodzieży obu płci w duchu zrozumienia idei kompletnej równości i odpowiedzialności za siebie.

Myślę, że oklepane pojęcie płci słabej pójdzie nareszcie do lamusa; może współzawodnictwo na placu sportowym, na zawodach, współzycie na uniwersytecie, w pracy społecznej — przyczyni się w znacznym stopniu do przeświadczenia, że niema „panów“ stworzenia i... „uśmiechów“ stworzenia, ale są ludzie — lepsi, silniejsi, równi i mocną dłońią losy w swe ręce ująć gotowi.

Janina Strzelecka.

DR. MARJA KUŹMIŃSKA

O POZIOM SZKÓŁ ŻEŃSKICH

Kwestja projektu ministerjalnego wprowadzenia zmian w programie średnich szkół żeńskich, wysunięta na zjeździe nauczycieli, odbiła się szerokim echem na łamach prasy. Wszystkie stowarzyszenia kobiece, poszczególne działaczki na polu społecznym, wybitne pedagogiczki — wypowiedziały się przeciw wprowadzeniu do gimnazjum odrębnych programów; jedyny głos kobiecy, sprzeciwiający się ogólnej opinii, otrzymał ze wszech stron należyłą odprawę.

Głosy protestu odezwały się i ze strony mężczyzn; znamienne było stanowisko prof. Baley'a, który w swym referacie wypowiedział pogląd, zgodny ze zdaniem ogółu kobiet, uważając, że nie czas teraz na podobny eksperyment, gdy badania nad dziećmi wykazują przewagę uzdolnień, a nawet talentów wśród dziewczynek w porównaniu z chłopcami.

W artykule p. t. „Bilans“, drukowanym w „Bluszczu“ w jednym z numerów lutowych, podawałam statystykę dyplomów na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Warszawskiego za r. 1927-8. Wykazała ona, że w pracy naukowej kobiety nie ustępują mężczyznom. Tego samego dowodzi niezmiernie ciekawa statystyka, ogłoszona przez inż. Wójtowicza w „Przeglądzie Pedagogicznym“ ze studjów na Politechnice Warszawskiej.

Uspokojona nieco stanowiskiem większej części społeczeństwa, opinia świata kobiecego została znowu poruszona wzmianką, która niedawno ukazała się na łamach prasy. Brzmi ona w ten sposób: „W Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego omawiany jest obecnie projekt wprowadzenia obowiązkowej nauki gospodarstwa domowego w żeńskich szkołach średnich. Wykład tego przedmiotu połączony byłby z praktycznymi zajęciami we wzorowych kuchniach“.

Niedawno ukazał się okólnik, nacechowany troską o rozwój fizyczny młodzieży. W celu podniesienia jej stanu zdrowotnego postanowiono zmniejszyć ilość godzin lekcyj jęz. polskiego, historii, matematyki, fizyki, kultury klasycznej; pod surową odpowiedzialnością nie wolno nauczycielowi obciążać ucznia pracą nadprogramową. I oto na miejsce tych przedmiotów wprowadza się obowiązkową naukę gospodarstwa domowego z praktycznymi zajęciami we wzorowych kuchniach; a zatem pewną ilość godzin w gimnazjum ogólnokształcącym poświęca się przedmiotom zawodowym, co przyczyni się niewątpliwie do przedłużenia zajęć w szkole, ujemnie wpływając na zdrowie. Dodajmy, że zajęcia będą się odbywały w kuchniach, gdzie przy najlepszych nawet warunkach wyziewy z gotujących się potraw, gorąco i t. p. nie mogą działać dodatnio na rozwój fizyczny.

Błędnem byłoby mniemanie, gdyby kto chciał tę pracę uważać za równoważnik godzin, poświęconych w szkołach męskich przysposobieniu wojskowemu. Godziny, przeznaczone na ćwiczenia wojskowe, są właściwie jeszcze zwiększeniem ilości godzin gimnastyki na świeżem powietrzu, nie działają więc ujemnie na stronę fizyczną. Jeśli chodzi o duchową, to młodzież męska może czerpać z tych ćwiczeń pewne pierwiastki bohaterskości, budzące i pogłębiające w niej poczucie męstwa, dzielności, honoru.

A teraz, wróćmy raz jeszcze do faktu, stwierdzonego przez szereg badań, podanych nam w referacie prof. Baley'a: „Dziewczynki okazały się najgenialniejsze wśród badanych dzieci o wyjątkowych uzdolnieniach“. Również i bezstronni pedagogowie na podstawie własnego doświadczenia muszą przyznać, że pracowitość, dokładność, przejęcie się nauką — nie w celach zdobycia stanowiska, ale z zamiłowania do nauki — spotykamy częściej, nawet wśród przeciętnej uzdolnionej młodzieży, w szkole żeńskiej, niż męskiej.

A przecież, jak często nastrój społeczeństwa, nastrój najbliższego otoczenia wpływa hamująco na rozwój zamiłowań i marzeń dziewczynki o przyszłej pracy naukowej, przedstawiając trudności pogodzenia zajęć domowych z pracą na polu nauki!

I wtedy szkoła staje się jedyną placówką, podtrzymującą najszlachetniejsze porywy. Ona jest kuźnią pracy intelektualnej, tworzy atmosferę duchową dla przyszłych uczonych, pracowników oświatowych, pracowników społecznych i t. p. Jedynie na wysokim poziomie postawiona szkoła średnia może otoczyć dziewczynkę atmosferą, której, niestety, niema w społeczeństwie. I na tej właśnie placówce spoczęło oko pomniejszych zdobywców kulturalnych.

Stopniowe obniżanie intelektu musi nastąpić, jeśli do szkoły średniej ogólnokształcącej wprowadzi się przedmioty, właściwe szkole zawodowej.

Gimnazjum musi mieć odpowiednią atmosferę dla pracy umysłowej. Jeśli potrzeba Polsce gospodyń, twórzmy szkoły zawodowe gospodarstwa domowego, ale nie róbmy ze wszystkich kobiet obowiązkowo kucharek. Ogłoszono, że nadobowiązkowe są takie przedmioty, jak rysunki, śpiew, z których pierwszy jest konieczny dla ogólnego rozwoju, drugi — dla rozwoju estetycznego; ale obowiązkowym chce się uczynić przedmiot, który nie ma nic wspólnego z ogólnym wykształceniem.

Szkoła średnia ogólnokształcąca musi być daleka od wszelkich zapachów kulinarnych, musi być przede wszystkim kuźnią intelektu — inaczej stanie się dziwolągiem.

LUCYNA KRZEMIENIECKA

W NOC ŚWIĘTOJAŃSKĄ

Poszłam w nocy wśród leśnych zakrętów
szukać ścieżek, zarosłych chmąstem —
ścieżek, znanych od lat pacholetom,
wierzącym w godzinę dmunastą.

W lnianej płachcie poszłam i boso,
wiatr pod stopy igły mi usiał.
Nad białymi paciorkami rosy
rozpoczęłam czary i gusła.

Chciałam zakląć w siebie oblicze
dziewczyny, którą Tyś miłował,
lecz nademną pod bladym księżycem
tylko ręce załamała dąbrowa!

Na nic czary nie zdaly się, na nic!
nie urosły mi złote markocze,
nie zakwitły mi oczy gwiazdami,
nie wydały kmiatu paprocie.

Przyszędł świt, kazał powstać i kwitnąć
ziemi, trawom i mnie taksamo.
Posłuchałam, choć wiedziałam, że nigdy
przez ciebie nie będę kochana.

W I A N K I

Noc świętojańska cichutko
księżycem płynęła, jak łódką.
Przyszły nad wodę szumiącą
dziewczyny białe i drżące,
strojne w kwiaciaste chusty,
w wiśniowe, malinowe usta.
Na mchu siadły, marzyły o czemś,
wiatr im rozwiwał markocze.
Uwily, uplotły dziewczyny
białe mianki z jaśminu.
W mianki z rumianków złotych
wplatały swoje tęsknoty.
Jednej z nich mianek odpłynął
daleko do srebrnej mikliny.
Ta miała drugiej niedzieli
iść do ołtarza w bieli.
A innej w wodzie zielonej
biały mianek utonął.
Bładła, łamała ręce,
bo grzech nosiła pod sercem.



HERMINJA NAGLEROWA

8)

ZAWALIDROGA

(Powieść)

VII.

— I poco to jechać, kiedy w domu najlepiej — upierała się Marta. Gniewała ją, że w tak ważnej sprawie nikt nie zważa na jej zdanie. A mówiła o tym wyjeździe właśnie wtedy, gdy Zofja i syn byli razem. Prostu prowokowała wymianę zdań. Ostro spoglądała na oboje, czekając odpowiedzi lub bodaj sprzeciwu, aby móc szerzej wyłożyć swoje racje. Ale oni milczeli, jakgdyby ich to wcale nie obchodziło. Tyle tylko, że w oczach Franka mrugała obawa, a Zofja ściągała brwi. Tak przemijał dramatyczny moment i Marta wzdychała, niby dotknięta wielkim nieszczęściem. Osiągnęła jednak tyle, że sprawa odjazdu była narazie jakby zaplombowana tem milczeniem. Franek nudził się i niecierpliwił, ale nie śmiał o nic pytać. Rozumiał przecież, że w tej chwili matka nie zajmie się nim i jego sprawami.

Pobyt Jerzego w Warszawie rozbijał zresztą porządek domowy. Zofja już przed południem wychodziła z domu i spotykała się z Jerzym gdziekolwiek na ulicy. Wyrywała go uśmiechem z tłumu przechodniów i wtedy nic innego nie mogło już istnieć poza wspólnym krokiem, który zmierzał w jakąkolwiek stronę.

Tymczasem Jerzy gorączkował się własnymi sprawami, które szły niepomyślnie. Ktoś w ministerstwie napewno był mu wrogiem, ktoś właśnie jego krzywdził. Bo i ten Białystok, czyż nie jest wyraźną szykaną? Zabiegał o powrót do Warszawy, szukał poparcia i rozczerował się już do wszystkich przyjaciół i protektorów. Był naprawdę znękany.

— Przecież do Białegostoku nie pójdziesz ze mną!

Zapewne, do Białegostoku nie mogła się przenieść, ale w tej chwili byli razem i nie trzeba było tak się zamartwiać. Zofja tłumaczyła cierpliwie i łagodnie, że skoro jest teraz tu, skoro są razem, nie należy łączyć smutku z radością. Mówiła tak, jakgdyby wcale nie współczuła z Jerzym.

— Nie kochasz mnie chyba!

Lecz te zagniewane słowa Jerzego ucieszyły Zofję, bo można było zaprzeczyć i już tylko mówić o tem, co było jedynie istotne i nie miało nic wspólnego z przeniesieniem, awansem, szykaną. Ręce najpierw chłodne, rozgrzewały się splotem palców i tak najlepiej mogła mu okazać, jak go żałuje, jak dobrze wie, że dzieje mu się krzywda. Gdy mijali Kasyno Oficerskie, a z głębi ogrodu wypadły, jak piłki, okrzyki i parole tenisowe, Jerzy znowu zawrócił do swoich trosk. Nie, doprawdy, nie może rozdzielić tych spraw. Łączą się ze sobą aż nazbyt ściśle, więc

trzeba myśleć praktycznie i realnie. Przecież latem mieli się pobrać, a teraz niewiadomo, jak będzie, gdy się tak wszystko zmieniło.

Kolorowy ranek wiał wśród drzew, przyciętych w ściany wysokie i jasnozielone we wczesnem słońcu. Ulica leciała wdół, jak lśniący atlas wstążki, a tu właśnie słowa Jerzego, niczem ciężkie ręce, kładły się na oczy, by nie widziały, że jest tak dużo przesłoniętych i tak wiele barw. Trzeba sobie tylko wyciąć małe skrawki myśli i dreptać w miejscu nieporadnie. Bo, jakże mu tu mogła poradzić, jak to, co się stało, przeinaczyć? Trzeba było poraz drugi, i trzeci, i czwarty wysłuchać, jak się gmatwały w intrydze te oficerskie sprawy, te personalne niedole. I znowu ten generał, który był wszystkiemu winien, i znowu to wzburzenie, od którego ciemnieją policzki, a wargi dygocą. Bo nawet niewiadomo, czy będzie mógł tak często przyjeżdżać do Warszawy. Pewnie i z tem się skończy!

— Więc, jak będzie? — Dopiero teraz pojęła, jak jest źle. Podejrzliwie i już niemal z rozpaczą pytała: jak będzie?

— Nie wiem, nic przecież nie wiem! — zdawało się, że triumfował, ponieważ nareszcie zrozumiała sytuację.

Bezradność rozdzieliła dłonie i jakby zagniewani odsunęli się od siebie. Jerzy jeszcze głośniejszy wykladał, prawie krzyczał. Ale tylko urywane wyrazy dochodziły do świadomości Zofji. Głos Jerzego plątał się z głosami obcych, mijających ich mężczyzn i czyjeś cudze słowa nie zmieniały wcale niewątpliwiej już prawdy.

Zofja podeszła znowu blisko i ramieniem oparła się o ramię Jerzego. Patrzyła przed siebie i może nawet dokładnie widziała szwy na popielatych ponczochach idącej przed nią pani, może nawet nazawsze zapamiętała dobry krój jej granatowego kostjumu.

— Przyjadę do ciebie do Białegostoku. Czekaaj, niech ci powiem. W lipcu będzie mało roboty, a Franek jedzie do ojca.

Tłumaczyła cierpliwie i dokładnie, że trzeba dostosować się do warunków. Można wziąć ślub w Białymstoku, można się jakoś i tam urządzić. Ostatecznie — Warszawa, cóż znowu tak niezbędnego, ta Warszawa!

Jerzy poglądził jej rękę i powiedział trochę karcąco:

— Co też ty sobie wyobrażasz? Ani mieszkań tam niema, ani tam wogóle jakakolwiek możliwość istnienia. — A zresztą, byłoby to mylne pod względem taktycznym, gdyby tam się zagnieździł i dom

zakładał. Pomyślał, że się pogodził z losem, a on właśnie nie ma zamiaru ustąpić. Będzie bezustanku szturmować, przypominać. Coś mu przecież przyrzekali. Trzeba przeczekać!

Teraz stało się tak, że Jerzy pocieszał i łagodził. Może po manewrach będzie wolniejszy, może się uda potem z jakimś urlopem. Zofja myślała o tem czekaniu, o niewyznaczonem oczekiwaniu. Błądzi się wtedy w czasie, jak w nieznanym lesie. W tej chwili układa się sobie, że to mogą być tylko miesiące. Czy wie, jak długie są miesiące? Czy napewno może jej powiedzieć, że to nie będą lata? I czyż oboje mogą tak rozdawać swoje lata?

Jerzy śmiał się i puszył. Lata mijają także prędko. Ani wie, kiedy i jak dotarł poza czterdziestkę. I jeszcze coś mówił niemądrze o swojej niezżytej młodości. Wielka, mocna dłoń ścisnęła ramię Zofji, niby na dowód siły. I wtedy nie można już było niczem się trapić, gdy od dotkniętego ramienia, od bólu mięśni poderwał się spazm i ściągnął w gruzły i węzły całe ciało. Zofja patrzyła na przyjaciela, który blisko podsuwał się ku jej oczom, prawie oślepionym nieprzytomnością. Mógł teraz mówić to wszystko śmieszne i nieprawdziwe i żądać natychmiastowej przysięgi, że wierzy już w nieczynność lat, skoro blisko były jego usta szerokie i blade. W ich chęci zaprzysiężona była przecież jej bezwolałość. Nie potrafiła już być ani mądrzejsza, ani nazbyt wytworna w czułych słowach. Powiedziała tylko: Ty! — i jak ogniem palił ją szept Jerzego: — Przecież umiem kochać, no przyznaj, że umiem!

Z takimsamym gorącym śmiechem rozmawiał potem z kwiaciarką, u której kupił duży bukiet konwalij.

— Masz tu taki karafijol — błaznował.

Wistocie bukiet okrągły, z białą kaszką kwiatów pośrodku, a zielonemi liśćmi obłożony, przypominał kalafjor. Były to pierwsze w tym roku konwalje i ich świeży, gorzkawy zapach przywiał jakąś dawną, niewiadomą już dziś radość. Może to była tylko sama młodość, a może jakiś ranek i jasna suknia? Piersi sprężyły się, a oczy błysnęły ku Jerzemu z porozumiewawczą zalotnością.

VIII.

Tensam ranek popłynął dla Franka złotą rzeką. Gorący oddech bruku obejmował stopy, a w uszach szumiał wyzywający gwar ulicy. Franek szedł właśnie do fryzjera, gdy z narożnej cukierni wybiegł Adonis.

— Chodź, jestem w cukierni z Jadzią!

Franek przyrzekł, że przyjdzie, gdy tylko załatwi się z fryzjerem.

W salonie fryzjerskim dźwięczały nożyce dygotliwie i ostro, a senny nastrój oddychał wilgocią wielorakich zapachów. Franek, siedząc tak dobry kwadrans, mógł się sobie w lustrze napatrzeć aż do znudzenia. Na kryzę prześcieradła spadały cicho kępki włosów, niby tłustawo świecące chrabąszcze. Nożyce migały nad głową ostremi jęzorami, a w pasemku szlifu na brzegu lustra łamała się w tęczowej obwódce mała główka fryzjera. Lustro było szczere i nie zatajało ani złotej hreczki piegów, ani liljowych znamion wysypki na twarzy Franka. Niezadowolone oczy mierzyły w siebie z pod nierównych brwi. Nad zygakiem górnej wargi złościł się meszek wąsów i dlatego wydawały się usta jakby nabrzmałe.

Fryzjer, wygłaskawszy na atlas ni ciemną, ni jasną czuprynę Franka, naprychał na nią dowoli jakichś mydlanych pachnidel, poczem przejechał się chłodną dłonią po policzkach. Z rozmachem zapienił pendzlem pod nosem Franka i koniuszkiem brzytwy pozbierał mydliny aż do zaróżowionej skóry.

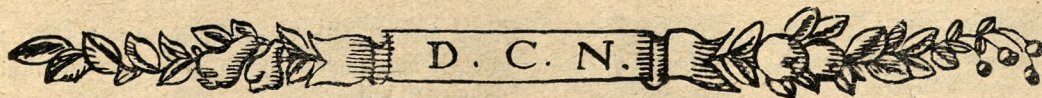
Jadzi nie było już w cukierni. — Wstydziła się — tłumaczył Janek. A potem rozповідаł długo i szeroko, jaka jest Jadzia. Bardzo wygodnie teraz się złożyło, bo właśnie wyjechał brat Janka i mogą spotykać się z Jadzią w jego mieszkaniu. Powieki Franka nie chciały się uspokoić. Oczywiście — wcale nie trudno było zrozumieć, że Janek-ziółko urządził się już z tą niby trusią.

Owszem, skoro Jankowi na tem zależy, może przyjść do nich na herbatę.

— Nie — zapewniał Adonis — nie będziesz nam przeszkadzał. Przeciwnie, Jadzia bardzo ciebie lubi i ucieszy się, gdy przyjdiesz.

Franek wypalał jednego papierosa po drugim i cierpki smak nikotyny przylgnał do podniebienia, wysuszonego, jak w gorączce. Co tu było mówić o całej sprawie? Że mu jakby żal Jadzki? Przecież dobrze rozumie, że niema dziewczyny, któraby nie poszła za Jankiem! Śmieszne, że go to przygnębiło. Może dlatego, że się Janek zbyt głośno przechwalał swoim sukcesem? Ale cóż to właściwie mogło obchodzić Franka, skoro mu się nawet nie podobała ta chuda Jadzka.

W ładnym, nowym domu w Alei Szucha, aż na piątym piętrze była garsoniera brata Janka. Franek przyszedł punktualnie o szóstej i na złotej tabliczce wyczytał imię i nazwisko, oraz szumny tytuł: Dyrektor Banku. Znał brata Janka, takiego wysokiego, grubego pana, trochę mruka, o którym Janek opowiadał niebawale anegdoty. Ale były to pewnie zmyślane historyjki, bo ten poważny, ciężki pan dyrektor nie miał w sobie nic z donżuana.



WŁÓDZIMIERZ HR. BEM DE COSBAN

HISTORIA MŁODZIENCZEJ MIŁOŚCI GENERAŁA JÓZEFA BEMA*)

Obok źródeł historycznych, na których podstawie tworzą się opisy wielkich czynów sławnych ludzi, interesującym jest nieraz zajrzeć do kart prywatnego ich życia, czy to dzięki najbliższemu współczesnym im osobom, czy też dzięki pozostałym po nich pamiętnikom. Jednym ze źródeł w takich razach są wspomnienia najbliższej rodziny. Żywym łącznikiem z epoką generała wojsk polskich i węgierskich, Józefa Bema, był dziad mój, Jakób Bem de Cosban, właściciel dóbr Charłupia w ziemi Sieradzkiej, zmarły pod koniec minionego stulecia. Wśród różnych oficjalnych dokumentów i aktów rodzinnych, odziedziczonych po nim, odnalazłem jego ręką pisane poźółkle kartki, nie związane ze sobą pod względem treści, lecz zawierające jakby poszczególne wspomnienia z lat dawno minionej jego młodości. Na podstawie jednego z tych wspomnień podaję niniejszą historję, dotyczącą osoby naszego bohatera narodowego — generała Bema.

Ojciec późniejszego generała, Andrzej Bem, zrodzony z Joanny Venino, pięknej patrycjuszki lwowskiej, zarówno z racji sfery swojej matki, jak i romantycznych powikłań, spowodowanych związkiem z nią łowczego inflanckiego, wobec ówczesnych pojęć czuł się początkowo cokolwiek zdeklasowanym w środowisku dumnej wielko-szlacheckiej sfery. To też nie poszedł szukać szczęścia ani na królewskim dworze, ani w szeregach gwardji, lub kawalerji narodowej, lecz wstąpił do palestry najpierw lwowskiej, później krakowskiej. Zaczął mu więc dopomagać w tej „sądowej karierze“ brat jego przyrodni, łowczy inflancki, Wincenty Bem de Cosban, „wyrabiając mu imię“ najpierw przy lwowskim sądzie konsystorskim około 1790 r., potem przy

sądzie szlacheckim (forum nobile) w Krakowie. W międzyczasie poleca go on swemu dawnemu wojewodzie wołyńskiemu, Hieronimowi ks. Sanguszcze, ordynatowi Sławuckiemu i właścicielowi hrabstwa Tarnowskiego, na skutek czego zostaje Andrzej Bem długoletnim pełnomocnikiem sądowym ks. Sanguszków na terenie ich interesów w ziemi Tarnowskiej, co też staje się przyczyną częstych przyjazdów jego do Tarnowa i urzędowania sobie tam na owe przyjazdy dworku „na Burku“.

W tym też dworku ujrzał światło dzienne w 1794 roku przyszedł narodowy bohater — Józef Bem, zrodzony z Agnieszki z Gołuchowskich, z którą małżeństwo doprowadzone było do skutku też przy wpływowej interwencji Wincentego Bema de Cosban, utrwalając ostatecznie Andrzejowi Bemowi mocną pozycję w tej sferze, z której przez ojca pochodził. Panna bowiem należała do senatorskiego polskiego rodu Gołuchowskich, była córką zamożnego ziemianina i wojskiego opoczyńskiego i choć „niskiej postaci i chorowita“, ale, sądząc z portretu, dość urodziwa, a przytem odziedziczająca ładną fortunę. Niebawem też Andrzej Bem staje się właścicielem dóbr Gaju z Kotarbowką i Brzyczyną Górną w okolicach Krakowa, oraz później dokupionych Słabkowic ze Skórzewem w powiecie Pińczowskim. Coraz też rzadziej zagląda teraz do Tarnowa, prześiadując albo u siebie na wsi, albo w Krakowie, gdzie „mały Józio“ zaczyna do szkół uczęszczać.

Tymczasem lata płyną i zmienia się wszystko wokoło, jak w kalejdoskopie.

Nastaje rok 1808. Nieoczekiwanie dla Andrzeja Bema zjeżdża z za kordonu do Krakowa syn nieżyjącego już Wincentego, Franciszek Bem de Cosban, z którym od szeregu lat już się nie widzieli. Jako nielojalny poddany rosyjski, walczący w legionach polskich przeciw sprzymierzonej prusko-rosyjskiej armji, został on zmuszony opuścić swoje posiadłości na Wołyniu, przenosząc się do Księstwa Warszawskiego. W kampanji 1807 r. utracił nogę, stał się do dalszej służby niezdolny i wystąpił z wojska.

W celu odebrania pewnych sum pieniężnych, przypadających mu w Krakowskim, Franciszek Bem de Cosban przybywa na czas dłuższy do Krakowa, przyjmując gościnę w pobliskim od Krakowa dworze Andrzeja Bema, w Gaju pod Mogilanami.



Agnieszka z Gołuchowskich Andrzejowa Bemowa,
matka generała Józefa Bema (według współczesnej
minjatury)

*) W związku ze sprowadzeniem do kraju zwłok generała Bema, podajemy to ciekawe wspomnienie o jego młodości.

Wnosi on ze sobą do tego cichego szlacheckiego dworu echa niedawno dopiero przerwanych walk orężnych, o których opowiada przy kominku zebranym „familjantom”. Chciwie słucha tych opowiadań, wchłania je w siebie, czternastoletni, nad wiek rozwinięty, jedyny syn Andrzeja Bema. Z zachwytem wpatruje się w rycerską, energiczną twarz starszego stryjecznego „pana brata”. Zapadają w młodocianą jego duszę wojenne opowieści zasłużonego oficera, który jest przytem „głową” całego ich rodu, z którym liczy się z tej racji nawet sam surowy ojciec chłopca, imię pan Andrzej Bem. Aż kiedy wybuch wojna 1809 roku i zamiast obcych, znienawidzonych austriackich mundurów zjawiają się na krakowskim rynku zwycięskie wojska ks. Józefa Poniatowskiego — młodziotki piętnastoletni Józef Bem pada do nóg ojcu i prosi o błogosławieństwo na służbę w narodowych szeregach. Pan palestrant protestuje i ze względu na wiek syna i na studia w Uniwersytecie Jagiellońskim, które ten wybitnie zdolny chłopiec już zdążył właśnie rozpocząć, ale wstawieniem Franciszka Bema de Cosban, przekonywującego jego rozmowa z upartym prawnikiem, lecz nie żołnierzem, zapewnienie, że młodocianego Józia przez wpływ swego szwagra, wiceministra wojny, Wielhorskiego, umieści zaraz po skończonej kampanji w wojskowej szkole aplikacyjnej w Warszawie, że wreszcie Józio będzie w Warszawie pod okiem i opieką całej rodziny Bemów de Cosban — przełamuje opór imię pana Andrzeja Bema i syn jego przywdziewa mundur ochotnika baterji artylerji konnej, sformowanej przez Włodzimierza Potockiego, a kompletującej się z oficerów i ochotników najpierwszych rodzin polskich.

Wojna 1809 roku zbliża się zresztą szybko ku końcowi i Józef Bem już w początkach 1810 roku, jako szesnastoletni podporucznik-elew, melduje się w oficerskiej szkole aplikacyjnej i niebawem w pałacyku na Lesznie (pod L. hipoteczną 731) w rezydencji Franciszka Bema de Cosban, który oddawna powrócił już do Warszawy, doszedłszy w Krakowie należnej mu schedy. Obok pięknej jeszcze jesienią urodą „pani bratowej” poznaje młody podporucznik córkę z tego małżeństwa, rozwijającą się, jak pączek róży — piętnastoletnią Rózię, kuzynkę swoją, właściwie bratanicę stryjeczną, tę, która miała się stać dla niego długoletnim i, zdaje się, jedynym prawdziwym ideałem kobiecym.

Panienska była nietylko ładna, ale i obdarzona przenikliwym umysłem. Wyczula w swym rówieśniku i młodocianym „stryjecznym stryju” przyszłego bohatera, wyczula, że jest on już teraz „inny”, niż



Andrzej Bem, ojciec generała Józefa Bema
(według współczesnej minjatury)

spotykani dotąd, może nawet bardziej urodziwi, oficerowie i młodzież z wytwornych salonów; dość, że serce piętnastoletniego podlotka odpowiedziało niebawem echem na pierwsze mocniejsze uderzenie serca... podporucznika-elewa.

Było to w owej epoce uczucie nawskroś wiśniane i prawie dziecinne u obojga. Ale młodziotki kuzyn stawał się coraz częstszym gościem w prześmiłym, niewielkim pałacyku na Lesznie, gdzie w empirowym salonie słuchał nieraz gry na harfie pięknej Rózi, albo melodyjnego jej śpiewu o miłości pastuszków. Spotykają się w takich chwilach ich oczy — może trochę przydługo nie odrywają się ich spojrzenia, aż oboje, zapłonieni, odwracają jednocześnie swe głowy „ku starszym”, którzy niby nic nie widzą, ale z dobrotliwą pobłażliwością patrzą na tę niewinną miłość „dzieci”. — Niech tam niedorostki podkochują się pod okiem starszych — zdają się mówić te dobre, rodzicielskie oczy — na serjo brać tego nie można, a czas i tak pokaże, jaką to formę w przyszłości przybierze.

Tak trwają te „rodzinne spotkania” z przerwami aż do 1812 roku. Z przerwami dlatego, że po ukończeniu aplikacyjnej szkoły, porucznik zostaje wyznaczony do baterji kapitana hr. Ostrowskiego, która nie jest stacjonowana w Warszawie. Tylko więc na urlopy zjawia się w domu swej wybranej. Jednakże przed wyruszeniem na kampanję 1812 roku doszło już między nim i Rózią do wzajemnych zwierzeń „w sekrecie przed starszymi” i do sekretnych zaręczyn.

(d. c. n.)



E L E S T A

„ŚWIĘTA Z MEDJOLANU“

Alessandrina Ravizza.

Osobliwy przypadek sprowadził mnie na trop Alessandriny Ravizza. Mówię na trop, gdyż ta „Święta z Medjolanu“, „Najlepsza“, „Jedyna“, „Nieporównana“ Alessandrina Ravizza, bożyszcze medjolańskich nędzarzy i wszystkich pasierbów losu, którzy mieli szczęście spotkać ją na swej drodze, kobieta, która pięćdziesiąt lat swego życia w Medjolanie poświęciła pracy dla nieszczęśliwych, która stworzyła tam kilka, po dziś dzień istniejących, instytucyj filantropijnych i położyła kamień węgielny pod Uniwersytet Ludowy w Medjolanie, autorka kilku książek i siostra duchowa Maksyma Gorkija i Tolstoja — została w czternaście lat po swej śmierci tak rzetelnie zapomniana, że nadaremnie poszukiwałam jej książek, lub jakichkolwiek śladów jej życia i dzieła we wszystkich największych księgarniach wielkich miast Italji, a nawet w „Società degli autori ed editori“ w Rzymie. Więc wyrzekłam się już nadziei, że uda mi się zdobyć wyczerpaną już w handlu księgarskim książeczkę tej autorki „Moi mali złodziejaskowie“, która zainteresowała mnie zarówno swym tytułem, jak i wszystkim, co o niej słyszałam, i którą zamierzam przyswoić literaturze polskiej — gdy oto szczęśliwy przypadek pozwolił mi wejrzeć w bogactwo duszy i dzieła tej niezwyklej kobiety.

Camilla del Soldato, znakomita włoska autorka książek dla młodzieży, przysłała mi swą najnowszą powieść „La Casa di cristallo“ (Kryształowy dom). I oto na kartach tej przemiłej książki znajduję cały rozdział, poświęcony Alessandrinie Ravizza i jej działalności. Tym więc śladem idąc, dotarłam do ośrodka pamięci i kultury tej wielkiej Włoszki, natknęłam się na grono byłych jej współpracownic i znalazłam tak obfity materiał danych z jej życia i działalności, że trudno mi go będzie pomieścić w ramach niniejszego artykułu.

Na piękną — fizycznie i duchowo — postać Alessandriny Ravizza złożyły się dwie rasy: słowiańska i romańska. Urodzona w roku 1846 w Gieczynie pod Petersburgiem, z matki słowianki i ojca Włocha, Mazzini'ego, który schronił się do Rosji w epoce wojen napoleońskich i tam osiągnął wysoką rangę urzędnika — bierze od każdej z tych ras to, co w niej jest charakterystycznego: od rasy łacińskiej — zamiłowanie do piękna, do sztuki i muzyki, które kochała i odczuwała głęboko; od rasy zaś słowiańskiej — fanatyzm i rewolucyjność uczuć, oraz mistyczną, tołstojowską miłość do maluczkich tego świata. We wczesnem dzieciństwie traci matkę i spędza w Rosji swą sierocą, smutną młodość; poznaje tu nędzę chło-

pa rosyjskiego i wówczas w młodej duszy budzi się pierwsze poczucie krzywdy społecznej. Mając lat osiemnaście, Alessandrina Mazzini przenosi się z ojcem i siostrą naprzód do Brukseli, a potem do Medjolanu, gdzie pozostaje do końca swego życia. Piękna, wytworna, obdarzona wybitnym umysłem, a zarazem pełna czysto kobiecego wdzięku, z słowiańską łatwością władająca sześcioma językami — rychło zostaje zauważona w Medjolanie i otoczona rojem wielbicieli. Wybiera pośród nich inżyniera Giovanni Ravizza i, poślubiwszy go, zostaje stałą obywatelką Italji. Pokochała drugą swą ojczyznę miłością gorącą, a nie mając własnych dzieci, całe nieprzebrane skarby swego serca oddała w służbę pracy społecznej.

Ówczesny medjolański świat kobiecy skupiał się dookoła gwiazdy pierwszorzędnej wielkości — Laury Solery Mantegazza, działaczki społecznej i kobiety wielkiego umysłu i serca. Młoda Alessandrina Ravizza przejmując cały obszerny program tej działaczki i staje się najinteligentniejszą jej współpracownicą, zwłaszcza przy założeniu sławnej Szkoły Zawodowej Żeńskiej, lecz, niestety, z środkami nader ograniczonymi. Ale pani Ravizza to bynajmniej nie zraża; dostarcza ze swego domu osiem krzesełek, dwa stoły i oto sala Szkoły gotowa. A gdy instytucja zdobywa sobie inne szczodre zasiłki, Alessandrina Ravizza zwraca swój zapal w inną stronę. Porzuca salony, gdzie młodość jej i uroda mogłyby święcić triumfy, i przekłada nad nie sale szpitalne, szukając w nich chorych opuszczonych, samotnych, którym niczyje przywiązanie nie osładza choroby i śmierci. Więc znowu z kapitałem dwudziestu franków zakłada „Kuchnię dla ubogich chorych“, a uzyskawszy w najuboższej dzielnicy miasta bezpłatny pokój, potrafi — drugi Mojżesz — ze skały ludzkiej obojętności wyczarować nigdy nie wysychające źródło pomocy finansowej. Ktoś, umiერając, zapisuje kuchni 10.000 lir, inni idą za jego przykładem, aż kuchnia ze skromnych początków rozrasta się do rozmiarów instytucji, działającej w trzech punktach miasta, a szlachetną inicjatorkę dowcipny młotek medjolański przezwiał „Hrabinią rosółków“. W r. 1898 po całej Italji rozchodzi się odezwa, podpisana przez Alessandrinę Ravizza, a wzywająca kobiety włoskie do zbierania pieniędzy dla ulżenia doli więźniów politycznych. W r. 1900 wraz z „czerwoną Italją“ żąda dla nich amnestji. Sprawa Uniwersytetów Ludowych niemniej ją rozplómięła. Gdy w r. 1900 jest obecna w Paryżu na wykładzie w niedawno utworzonym Uniwersytecie Ludowym, widzi tam dorożkarza,

który, wsparłszy brodę o bat, pije słowa prelegenta z równą chciwością, z jakąby wychylił szklaneczkę wina. I wizja tego zacnego mistrza bata już jej nie opuszcza — staje się symbolem. Powróciwszy do Medjolanu, Ravizza potrafi porwać swym zapałem do idei Uniwersytetu Ludowego grono ludzi o pokrewnych ideałach; urządzają jedno propagandowe zebranie za drugim i oto 1-go marca 1901 Gabriele d'Annunzio otwiera Uniwersytet Ludowy w Medjolanie odczytaniem swej „Pieśni o Garibaldim”.

A Alessandrina Ravizza już idzie dalej. Teraz zwraca swą uwagę na nieszczęsne ofiary chorób wenerycznych, na kobiety i dzieci, leczone się w szpitalach dla syfilityków. Współ ze swą długoletnią współpracowniczką Bambiną Venegoni, która po dziś dzień stoi na straży ideałów swej wielkiej przyjaciółki, uzyskuje pierwsza z osób, nienależących do personelu leczniczego, prawo odwiedzania tego szpitala, więcej: obie te panie zostają w roku 1901 wydelegowane do zwiedzenia oddziału syfilitycznego przy Głównym Szpitalu w Medjolanie. Podczas gdy we wszystkich innych salach szpitalnych pojawienie się opiekunek było rzeczą naturalną i godziwą, żadna z pań „dobrego towarzystwa” nie uważała wówczas za możliwe znaleźć się pośród „upadłych kobiet” lub mężczyzn, którzy nabawili się „tej choroby”. Ale dwie odważne kobiety podjęły to zadanie z głęboką radością, acz świadome czekających je trudności. Podczas pierwszych wizyt nieufność i głucha nienawiść pacjentek dała im się mocno we znaki, ale wszedłszy tutaj, jak głosi sprawozdanie Bambiny Venegoni, „z pokornym sercem kobiet, świadomych, że odwiedzają miejsce ludzkiego bólu, że nie spełniają tutaj uczynku miłosierdzia, lecz obowiązek siostrzanej solidarności” — powoli umiały sobie zjednać te rozgoryczone dusze, umiały je przekonać, że sprowadza je tu miłość do ludzi i chęć ulżenia ich doli. I otwierają tutaj Szkołę-Pracownię dla dorosłych i dzieci, leczących się w tym szpitalu. Dookoła Alessandriny Ravizza i dobranych przez nią nauczycielek skupia się gromadka małych rekonwalescentów, którzy znaleźli się w szpitalu nie z własnej winy. Przychodzą także nieszczęsne dorosłe ofiary nierządu i poraz pierwszy w życiu czują się otoczone szacunkiem i miłością. I dzięki Alessandrinie Ravizza wiele z nich odzyskuje wiarę w możliwość uczciwego życia, a sprawozdanie z działalności Szkoły-Pracowni przy szpitalu dla syfilityków przytacza listę kilkudziesięciu wykończonych kobiet i młodziutkich dziewcząt, które przy moralnej i materialnej pomocy swych szlachetnych opiekunek powróciły na drogę uczciwej pracy.

Alessandrina Ravizza była również pierwszą z kobiet w Italji, która nie w stroju zakonnym przystąpiła progi więzienne. Ujrzała tam młodocianych przestępców, uczepionych kraty okiennej w tęsknocie za promieniem słonecznym. I odtąd całe jej współ-

czucie, całe jej niezaspokojone macierzyństwo dręczy się myślą o bezdomnych młodocianych włóczęgach, których brak opieki, głód, a często wrodzone złe skłonności — popychają na drogę występku. Więc „Kuchnia dla ubogich chorych” staje się punktem wyjścia dla jej stosunków ze światem małych złodziei. Jej książeczka „Moi mali złodziejaskowie”, książka, nie tylko napisana, ale *przeżyta*, jest dokumentem zarówno przestępczości dziecięcej, jak i niewyczerpanej dobroci tej „matki ubogich”, jej iście macierzyńskiej pobłażliwości i mądrego odczucia sił, kiełkujących pod zbrodniczą skorupą tych dzieci ulicy. Opowiada nam, jak udaje się temu wielkiemu sercu wyrwać kilku chłopców „ze szponów tego szkaradnego rzemiosła, posłać ich na okręt-szkolę „*Wyzwolenie*” profesora Garaventa w Genui, gdzie czysty powiew morza i pełne mądrej dobroci kierownictwo czyni z nich dzielnych ludzi. Udaje się jej również zdobyć zaufanie samego *króla złodziejasków*, a gdy przesłaniu jego na okręt-szkolę staje na przeszkodzie obrzydliwa choroba włosów „parch”, leczona jeszcze wówczas barbarzyńskim sposobem nalepiania plastra smołowego na włosy i następnie skalpowania go często razem ze skórą głowy — król złodziejasków udaje się na tę, grozą przejmującą operację wraz z tą swoją „mamą”; gdy, mimo operacji, choroba się powtarza — Alessandrina Ravizza bierze do swego domu *parszywego złodzieja*, wbrew wszystkim domownikom — otacza go najczulszą opieką, sama wyrywa po jednym włosy z chorej głowy i, trzymając ją na swoich kolanach, marzy wraz z nieszczęsnym o takim domu, gdzie wszyscy chłopcy-włóczęgi mogliby wejść, o nic nie pytani, zasiąść przy nakrytych stołach i spać na białych łóżkach. I w odpowiedzi na tę bezinteresowną miłość, która nie żąda niczego i nie moralizuje, *król złodziejasków* dobrowolnie wyrzeka się swej przeszłości i staje się dzielnym i szlachetnym członkiem społeczeństwa. Te i inne fakty opowiada nam Ravizza z zupełną prostotą, a przecież wydają się nam one niekiedy wprost nieprawdopodobne.

Alessandrina Ravizza pozostawiła w swej spuściźnie literackiej także dwie inne książki: powieść pod dziwnym tytułem: „Rachunek praczek”, której przedmowa jest uważana za godną pióra Dostojewskiego i Gorkija, w której postać małej Wiery jest kluczem do psychologicznej zagadki samej autorki, oraz jeszcze nie wydane pamiętniki pod tytułem: „*Siedem lat w domu pracy*”, które, wedle słów Ady Negri, nie są dziełem sztuki, lecz olbrzymiem, łkającym kłębowskiemi dokumentów ludzkich.

Albowiem ostatniemi dziełami Alessandriny Ravizza jest *Dom Pracy* dla bezrobotnych w Medjolanie, urzeczywistnienie marzeń całego jej życia. Wezwana przez Towarzystwo Humanitarne do zorganizowania i kierowania tym Domem, poświęciła mu ostatnie swe lata. — Na progu *Domu Pracy*, otwartego bez przerwy

we dnie i w nocy — mówi Ada Negri w swem wspomnieniu pośmiertnem — Ravizza znalazła swe wymarzone miejsce. Była tam nie tylko siłą, ale symbolem „Pukajcie, a będzie wam otworzono”. Bezrobotny pukał, wchodził, a nikt go nie pytał, skąd przybywa. Gdy po kilku tygodniach opuszczał ten Dom, udawał się prawie zawsze do jakiejś pracy, wynalezionej dlań przez Alessandrinę Ravizza. Dwoje Tytanów spotykało się tutaj: ona i nędza.

Przez obszerny gabinet *Domu Pracy*, gdzie Alessandrina Ravizza, sama już sterana wiekiem, chorobą i ruiną materialną, urzędowała, jako kierowniczka — przesuwali się wszystkie klasy społeczne: biedny student, za którego opłacała wpisy; młoda aktorka bez engagement; włóczęga, co przybywał z daleka, zmęczony i zgłodniały; sławny cudzoziemiec, który chciał ją poznać, zanim opuści Italję; ojciec rodziny, zagrożony utratą posady; dobroczynna dama, na którą czekał samochód. Dla każdego z nich miała uprzejmy, acz krótki frazes. Wszystkich wysłuchiwała życzliwie, nie przerywając sobie dyktowania listów: codziennie dziesiątki i dziesiątki próśb i poleceń, pisanych zwięzłym stylem, na które nie można było odpowiedzieć: nie.

Tak pracowała przez lat 50.

To też, gdy po krótkiej chorobie Alessandrina Ravizza w styczniu roku 1915 zeszła z tego świata, gdy nagle zabrakło tej, która, jak się zdawało, poto tylko pojawiła się wśród ludzi, by służyć im każdą myślą i każdym technieniem, — w rozpacz opuszczonych nędzarzy — była pewna doza zdumienia. „Jej nie wolno było umrzeć” — mówili ci, których była opatrnością na ziemi. Tysięczne tłumy odprowadziły kondukt pogrzebowy z *Domu Pracy*, gdzie zwłoki jej spoczęły na wspaniałym katafalku w sali, obitej kirem.

A gdy wspominam o tym wspaniałym, tak bardzo zasłużonym pogrzebie, ciśnie mi się pod pióro obrazek z życia Ravizza, dający jakby syntezę tej kobiety o wielkiem sercu. Oto po ulicach Medjolanu sunie ubogi karawan i nikt nie odprowadza nieboszczyka na miejsce wiecznego spoczynku. Więc Ales-

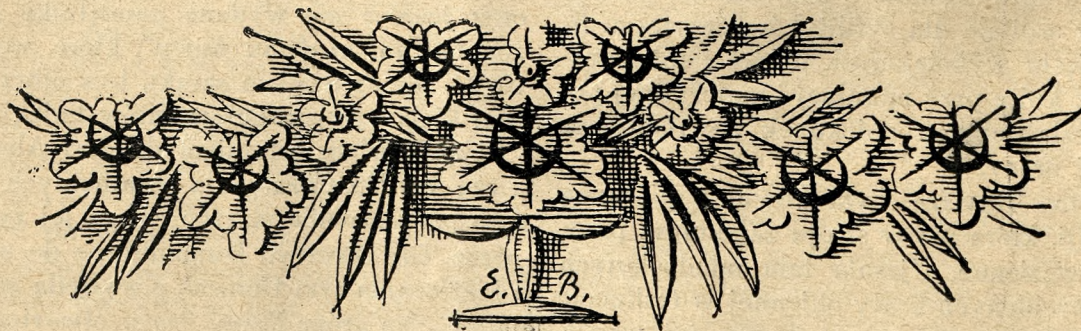
sandrina Ravizza bez namysłu schodzi na jezdnię i odprowadza na cmentarz trumnę człowieka nieznanego, jakby ujęła za rękę zblakane i płaczące dziecko, któreby spotkała na swej drodze.

Takich epizodów w życiu Ravizzy było mnóstwo; z takich epizodów właściwie składało się to życie. Trudno też w ramy krótkiego życiorysu wtłoczyć tę postać, tego olbrzyma dobroci i miłości. Rzuciłam tutaj ten szkic, aby choć kilkoma słowami uczcić i u nas pamięć kobiety, która w swym poświęceniu dla najnieszczęśliwszych, najbardziej poniżonych i wyzutyh z praw, dla ulicznych prostytutek, złodziejasków i wszystkich, wyrzuconych poza nawias twórczej pracy — potrafiła wznieść się na takie wyżyny, iż porwała za sobą ludzi, jakoby już straconych dla społeczeństwa, i nawróciła ich nie morałami, lecz samą siłą swej miłości.

„Według niej, ci, którzy mogą, mają względem tych, którzy nie mogą, obowiązki bezgraniczne, obowiązki niewielu uprzywilejowanych względem bezliku tych, którym życie zadaje jedynie ciosy i krwawiące rany” — mówi Camilla del Soldato na uroczystości wmurowania tablicy pamiątkowej dla Alessandriny Ravizza w gmachu Szkoły-Pracowni przy szpitalu dla syfilityków. „Współczucie i miłość były w niej, jak czysty płomień, który, sam siebie podsycając, wybuchał coraz wyżej, niespożyty. Zdawało się istotnie, że jej serce posiadało moc rozszerzania się w miarę, im większa była nędza tego świata” — oto dalsze słowa tego przemówienia.

Alessandrina Ravizza nie należała do żadnej partji politycznej, nie obserwowała obrządków żadnego oficjalnego kościoła. Ale była czczona przez wszystkich ludzi dobrej woli; sama była też pełna podziwu dla wszystkich zasłużonych, bez względu na ich przekonania. Cieszyła się też przyjaźnią księży, a w swej korespondencji z jednym z nich podpisywała się: „Pańska wolnomyslicielka”.

To też wszystkie pośmiertne wspomnienia mówią o niej, jako o świeckiej świętej, a Ada Negri, włoska poetka proletariatu, nazwała ją „Świątą z Medjolanu”.



STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW

Z GŁĘBI SERCA^{*)}

Z głębi serca. A zatem coś, co jest istotne, prawdziwe i szczere. Zarazem wskazanie źródła, z którego płynie ta poezja, nabrzmiała krwią. Wyznanie wiary, poetyckie credo, uchylenie rąbka tajemnicy, szczelnie i zazdrośnie otulającego wnętrze świątyni?

Nie łudźmy się. Poetka powiedziała nam tu wiele i rozmaicie, ale nie inaczej, niż w poprzednich swoich książkach. Układ zbioru przypadkowy, czy też sztucznie podciągnięty pod linję „z głębi serca”. może całkowicie zdezorientować i wykoleić przeciętnego czytelnika, który utartymi drogami zechce szukać wyjścia z tego labiryntu.

Nic to, że utwory ostatniej doby są na pierwszym miejscu, a na końcu cykl wojenny „Z domu niewoli”. Takie spojrzenie wstecz może mieć swój głębszy sens, taki układ retrospektywny ma swoją wymowę. „Patrzcie, jaka jestem, a jaką byłam. Dokąd doszłam, a skąd przychodzę”. W tym trochę wyniosłym geście może tkwić stanowcze i pewne zakreślenie własnych granic.

Ale nie należy na jednej płaszczyźnie stawiać utworów o tak nierównej skali i rozmaitem pochodzeniu; nie można przeplatać natchnienia publicystyką, bo tem się wyrządza krzywdę własnej twórczości.

Chwilami ma się wrażenie, że poetka pozbiierała poprostu wszystkie utwory, które jej się w innych książkach nie pomieściły, wskutek tego dała nam siebie jakby kawałkami, nie w jednolitej całości, ale w luźnych, niedopasowanych do siebie fragmentach i okrucach.

Arcydzieła — obok rzeczy zupełnie przeciętnych, klejnoty — obok paciorków i bibelotów. Obywatele z rozmaitych planet sąsiadują z sobą o miedzę, rozdziela ich zaledwie kartka białego papieru. Jesteśmy ciągle zmuszani do skoków międzyplanetarnych, a wśród tych gwałtownych wstrząsów chwytamy z trudem równowagę, trzymając się rozpaczliwie linki bezpieczeństwa, jaką nam łaskawie rzuciła poetka tem słowem „z głębi serca”... Bo przecież i „Głos w sprawie Litwy”, i „Kochanka żeglarsza”, i „Swojskość i obczyzna” stamtąd wypłynęły!...

Tyle razy na tem miejscu poddawałam utwory Ilakowiczówny analizie czysto artystycznej, że niech mi będzie wolno dziś skorzystać w pełni z tych uprawnień, jakie poetka zawarła w tytule, i rozpatrzeć cykl „Z głębi serca” ściśle pod kątem wyznania. Jak szczerość — to szczerość; skoro serce otwarte — wolno nam, przybłędoin, plondrować po tym skarbcu, dostępnym dla wszystkich i dla ni-



Kazimiera Ilakowiczówna

kogo, wolno nam dotykać ran i badać blizny, kontrolować tętno i mierzyć siłę ciśnienia krwi.

A zatem... Na samym wstępie poetka spowiada się nam ze swej niewiedzy wobec siebie samej.

„Jeszcze nie wszystko we mnie jest dla mnie znajome, żyję w przedsionku, jak na słonecznym podwórzu”. A dalej: „Jest dom... i Bóg, który jest wszędzie, jest tam, gdzie mnie nie ma”. Poetka konstatuje tu dwa fakty: pierwszy, że stoi dopiero na progu własnego „ja”; drugi, że w tym domu duszy jest Bóg, ale ona Go spotkać nie może. Dalszy ciąg cyklu — to ustawiczne, gorączkowe, czasem ekstazy, czasem rozpaczliwe, szukanie Boga; pielgrzymka po świecie udręki i po zaświatach marzenia; rozdroże, na którym spotykają się dwa napozór przeciwne sobie prądy: kult siły i pragnienie śmierci.

Pierwszy znalazł swój wyraz epicki w legendzie „Krzysztof w służbie u diabła”, a swe liryczne uzasadnienie w „Bogu szczęśliwych”, w „Bogu silnych”, „W cieniu wielkości”.

^{*)} Kazimiera Ilakowiczówna: „Z głębi serca”. — Nakład Gebethnera i Wolffa — 1928 r.

„Nie spotkałam Boga słabości,
znam tylko Boga siły“.
„Nigdy z męką do mnie nie zszedł Bóg.
... Zato w glorii szczęścia, u radości moich zenitu
płonął zawsze Bóg w Trójcy świetlany, jak sztandar u wieży
szczytu,
jak potwierdzenie wieczności dla wszystkiego, co jest moje
i mną“.

Potwierdzenie wieczności dla wszystkiego, co jest moje i mną. Pakt z Bogiem, zawarty na podstawie wymiany i zrównania sił. „Czy może szczęście być bardziej niewymowne, jak ze zbytku mocy — przestać być sobą?!“. Pokusa tak silna, że błędnie wobec niej groza śmierci. „Śmierć w rękę Boga świeci, jak biała, łagodna latarnia“. Śmierć wyrasta obok człowieka, jak jego cień; potem leży w kacie, niby zwinięty papirus, a wreszcie jest pod ręką, przytomna „i czeka na mnie bliska i moja, jak książka nierozcięta“.

Nigdzie chyba w literaturze nie znajdziemy koncepcji śmierci, tak pozbawionej grozy, makabryzmu, rozkładu, dekoracji pogrzebowej, bicia we dzwony, kiru, trumny, cmentarza — całej tej „pompe funèbre“, tego aparatu grobowego, który straszniejszy jest, zaiste, niż śmierć sama. Prostu, leży sobie nierozcięta książka, którą trzeba będzie kiedyś przeczytać, podobnie, jak się czytało książkę życia. A z tego oswojenia się ze śmiercią, z tego zredukowania jej ze stanowiska katastrofy na skromne miejsce ostatecznej zgody i uciszenia wewnętrznego — konsekwentnie wynurza się stosunek poetki do zmarłych, stosunek, ujęty rozumowo w katolicki dogmat o świętych obcowaniu, a uczuciowo i wyobrażeniowo rozwinięty przez nią w całym szeregu legend o świętych — legend, w których umarli współdziałają i współczują z żywymi.

Ze stosunku poetki do Boga, stosunku, przepojonego do głębi średniowiecznym mistycyzmem, rodzi się jej postawa wobec własnej twórczości, jako posłannictwa. „Wybraniec“ i „Krzak gorejący“ — to już zupełnie wyraźne stwierdzenie tego stanowiska, w którym dusza poetki, błądząca dotychczas w chaosie, znajduje ukojenie, odpowiedź na dręczące zapytania, odzyskuje pion, zachwiany podmuchami buntu.

„Bóg mię powołał przez ogień, przez mrok, przez ciszę“. „Bóg mię powołał, mnie, nędzę i niewolnika, jak rycerzy, jak królów, jak świętych... Bóg mię powołał!... O, któżby się nie cofał!...“.

Chwila wahania, ale tuż zaraz poddanie się przemożnej woli Boga.

„Jeśli rozpałił Bóg tę iskrę, co mię pożera i trawi,
niech będzie pochwalony“.

„Palę się, jak dom na wzgórzu,
palę się i wołam na żyjących:
— Otom jest krzak gorejący,
który się z chaosu wynurzył,

by wołać płomieni głosem
nad torfami, nad moczarem, nad chaosem!“.

Nieznane stało się znanem i bliskiem. Obce —
swojem i własnem. Bóg zamieszkał w domu duszy,
płonącym wiekiustym ogniem natchnienia.

Z TEATRÓW

TEATR POLSKI:

„Wielki Kram“ (The Apple Cart) — komedia polityczna w 3 aktach Bernarda Shaw. Przekład Florjana Sobieniowskiego, reżyserja Karola Borowskiego, dekoracje Karola Frycza.

Nasze papiery teatralne poszły gwałtownie w górę na rynku europejskim. Bo pomyślmy tylko: Bernard Shaw wystawia swoją nową sztukę poraz pierwszy na scenie teatru Polskiego.

A zatem — premjera angielska w Warszawie. Dodajmy: premjera „in partibus infidelium“. Bo zrozumiałą jest rzeczą, że komedia polityczna, która nawet wśród naszej, naogół teatralnie mało pobudliwej publiczności wzniciła sensację — w Londynie mogłaby wywołać skandal.

Nie zapominajmy, że Bernard Shaw ma krew irlandzką w żyłach, i że ironiczne spojrzenie, jakim obrzuca gliniane nogi brytyjskiego kolosa, kryje w sobie coś więcej, niż tajoną ra-



Marja Przybyłko - Potocka w roli Oryntji

dość „mniejszości narodowych“. Ten zaciekle intelektualista, kiedy mówi o Anglii, ma w sobie coś ze spętanego Samsona. Filary wielkiego gmachu drżą, kiedy on napręży mięśnie. Ale jest to wysiłek czysto intelektualny.

„Wielki Kram“ jest pomyślany genialnie, w scenicznym przeprowadzeniu twórczej myśli — błędy. Jest to jedna z tych nudnych pól, których się słucha z niesłabnącym zainteresowaniem, podobnie jak godzinami można słuchać mądrego człowieka, który nałogowo monologuje i upaja się własną elokwencją.

Shaw sam siebie osądził, kończąc pierwszy, na półtorej godziny rozłożony akt, przeciągłem ziewnięciem dwóch sekretarzy królewskich. A przecież w tym akcie, który jest cały tylko ekspozycją, mamy takie dwie kapitalne sceny, takie arcydzieła finezji, jak rozmowę króla z ministrem przemysłu i handlu Boanergesem i posiedzenie rady ministrów, stawiających ultimatum królowi.

Pierwsza z tych scen — to jakby nieświadome echo rozmowy hr. Henryka z Pankracym w „Nieboskiej“, zmatowane tą odległością, jaka dzieli tytanów od karłów, symbole od ludzi żywych. I tu i tam jesteśmy w dżungli, gdzie ludzkie bestje żrą się o władzę; i tu i tam lew staje do walki z tygrysem, tylko, że nie jest to już walka o śmierć i życie. Lew monarchji zrezygnował z grzywy i ryku króla puszczy. Wyrobił w sobie zato układność kota i czujność sowy. Tygrysowi demokracji przypilnowano pazury, można go karmić z ręki i głaskać, byle nie pod włos. Jego czerwona koszula nie grozi nikomu rozlewem krwi, ani rewolucją, — jest to dekoracja, pod którą ukrywa się wrodzona dobroduszość prostaka, dużego dziecka, cieszącego się władzą, jak nową zabawką.

W kontraście tych dwu postaci jest cały Bernard Shaw: indywidualista z urodzenia — arystokrata z powołania. Jego „Wielki Kram“ — to pean, wyśpiewany na cześć rasy, silnej jednostki i monarchji. Wielki hipnotyzer intelektu wyposażył swego króla Magnusa w cały dorobek wielowiekowej kultury panowania, otoczył go nowoczesnym majestatem inteligencji i finezji, w której misterna sieć łapia się ci wszyscy nuworyscy władcy, kabotyńscy premierzy i pajacowaci ministrowie, jak tłuste węgorze, znieruchomiałe w słodkiej drzemce intelektualnej, opasłe rozdymającą strawą rzekomej wielkości.

Każde państwo konstytucyjne ma niewątpliwie swój własny „Wielki kram“, ale tu zrobiono z niego teatrzyk żywych marionetek, z których każda ma sobie właściwą wymowę groteski, a wszystkie są wprowadzane w ruch genialnymi pociągnięciami sznurka przez wielkiego mistrza bałaganu.

Król Magnus — to niesłychanie ciekawy typ człowieka o zakonspirowanej sile, wciągający swych przeciwników w zasadzkę pozorami słabości i oportunistu. Świetny polityk, którego powodzenia tajemnicą jest umiejętność słuchania. Pozwala on się każdemu wygadać — zarówno ministrom, jak swojej faworycie — prowokuje do wynurzeń i osiąga zawsze to, że każdy z nim musi grać w otwarte karty. On tylko jeden nigdy kart swoich nie odkrywa, ale w stanowczej chwili bije atutem, zwycięża i zwyciężonych lekceważy.

Poza wartościami czysto psychicznymi, postać króla Magnusa stanowi w dziejach teatru ciekawą próbę puszczenia w ruch nowych motorów dramatycznych. Shaw zawarł w niej nawskroś nowoczesny patos inteligencji, jako ekwiwalent patosu wielkich namiętności w teatrze starożytnym i u Szekspira. Dodajmy, że inteligencja była dotychczas na scenie niemal wyłącznie udziałem rezonerów, nawet u Wilde'a, — poraz pierwszy widzimy ją tutaj w symbiozie z wolą u człowieka czynu.

Ten patos inteligencji stawia komedję Shaw na tak wysokie koturny umysłowe, że nawet nieprzeciętny słuchacz ze zrozumiałym wysiłkiem musi się podciągać na ich poziom, aby osiągnąć pełnię zadowolenia estetycznego. A publiczność nie lubi, kiedy ją zmuszają do aktywnego myślenia. Idzie do teatru nie poto, żeby się czegoś dowiedzieć, ale żeby być skokietowaną, porwaną, uwiedzioną, choćby kosztem zdrowego sensu i... cnoty.

Tymczasem Bernard Shaw nie ma ani szczypty tej zalotności, jaką czarują komedjopisarze francuscy. Myśli przede wszystkim dla siebie. On się sam bawi własnym wirtuozostwem. „Le roi s'amuse“. To najważniejsze. Tłumowi wolno jest patrzeć, jak uczują bogowie, i zbierać okruszki z pańskiego stołu.

Zasłuchany w siebie samego, Shaw wpada w rozwlekłość, daleką jednak od czezej gadaniny, w rozwlekłość człowieka, który ma dużo do powiedzenia i nie chce niczego z tych skarbów uronić. Jego temperament sceniczny zdaje się drzemać pod pokładami angielskiej flegmy i zabójczego konwenansu. W istocie jest on zakonspirowany, podobnie, jak siła króla Magnusa. Przez całe dwa akty skrada się on, maskuje i czai, jak skrytobójca, aby w trzecim zadać stanowczy cios pewną ręką mistrza szpady.

Junosza - Stepowski w kreowaniu postaci króla Magnusa obrał drogę najtrudniejszą, ale, w skutkach niezawodną. Operując półtonami, wydobyl z niego czysty, metaliczny dźwięk, obudził życie brązu. Przybyłko - Potocka wyszła zwycięsko ze sztucznej i nawskroś mózgowej roli faworyty Oryntji. Samborski szarżował nieco w roli ministra - prostaka. Sulima była stylową monarchinią z ilustracji angielskiej. Dominiak w roli ambasadora amerykańskiego wzorował się nietylko na ambasadorach, co na wycieczkowiczach amerykańskich.

Całość była wyreżyserowana i puszczone w ruch, jak zegarek. Dekoracje Frycza w drugim i trzecim akcie witano oklaskami. Obecność Pana Prezydenta Rzeczypospolitej nadała uroczysty charakter premierze. Pięknie wyglądał parter, inkrustowany czarnymi agatami smoków.

S. P. O.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

DWUDZIESTOPIĘCIOLECIE PRACY PRZEŁOŻONEJ GIMNAZJUM ŻEŃSKIEGO — PANI ZOFJI SIERPIŃSKIEJ.

Ideową chorągiew szkoły polskiej niosła wysoko pani Zofja Sierpińska w ciągu 25-letniej pracy, jako Przełożona Gimnazjum Żeńskiego.

W radosnym dniu Jubileuszu otoczyły ją wyrazy hołdu od wszystkich, którzy znali szkołę, bronioną, jak szaniec pol-



Zofja Sierpińska

skości, w czasach ucisku, rozkwitającą zawsze duchem religijnym i obywatelskim, przenikniętą troską o rozwój umysłów i charakterów uczennic.

Cicha, pełna poświęcenia praca Kierowniczk i grona nauczycielskiego znajduje najżywszy oddźwięk w sercach wychowank, a owocność jej i piękno jest chlubnym zjawiskiem dla naszego współczesnego życia.

Z. N. R.

HISTORYCZNE WYBORY W ANGLJI POD PRZEWAGĄ KOBIEC.

Batalja się skończyła! Już po walce, już wiemy o wynikach zapasów: są one nieoczekiwane.

Tegoroczne, powszechne wybory do parlamentu w Anglii przejdą niewątpliwie do historii, jako przełomowa chwila w życiu politycznym tego narodu, a to przede wszystkim ze względu na fakt, że wzięły w nich udział w liczbie przeważającej kobiety, wyborczynie angielskie, uprawnione do głosowania od 21 r. życia, na skutek uchwały parlamentu (Franchise Bill) z dnia 29 marca 1928 r.

Znaczna liczebna przewaga kobiet nad mężczyznami w państwie brytyjskim wytworzyła niebywałą sytuację: na 11 milionów mężczyzn głosowało 16 milionów kobiet; w ogólnej zaś liczbie nowych wyborców, którzy doszli do pełnoletności — kobiety miały przeszło 1 i pół miliona głosów więcej. Czy można

się więc dziwić, że wyniki wyborów, leżące w rękach nowych mas wyborczyń najmłodszych, tak zwanych młodocianych „flapperów”, musiały być do pewnego stopnia zagadką do ostatniej chwili?

Trzy potężne partje polityczne ang. rozpoczęły mniej więcej przed pół rokiem zacięłą kampanję na śmierć i życie, wychodząc z założenia, że każdy „cel uświęca środki” i starając się za wszelką cenę przeciągnąć na swą stronę liczne rzesze głosujących kobiet. Należy dodać, że walka ta nie była tylko walką haseł politycznych, ale zapasami trzech wybitnych indywidualności, a zarazem charakterystycznych przedstawicieli partji, a więc: premiera Baldwina (partja konserwatystów), typowego gentlemiana pod względem kultury i tradycji, wywodzącego się z zamożnej, arystokratycznej rodziny; Mac-Donalda (Labour - Party) — robotnika szkockiego, marksisty, typowego przedstawiciela wojującego socjalizmu, i Lloyd - George'a (partja liberalów), pochodzącego z rodziny drobnego mieszczaństwa, mistrza auto - reklamy i „cacanek - obiecanek”, lubującego się w efektownym krasomówstwie i sugestji.

Zwycięża Labour - Party (partja pracy) i aczkolwiek nie osiąga absolutnej większości nad innymi stronnictwami, to jednak zdobywa 293 mandaty; konserwatyści — 262; liberalowie — 59; dzicy — 7.

Labour triumfuje.

Mówią, że młode, świeżo do głosu politycznego powołane debiutantki przechyliły szalę zwycięstwa, przechodząc na stronę klubu pracy! Charakterystyczną cechą wyników pierwszego dnia wyborów — było przesunięcie na rzecz Labour - Party części głosów, któremi rozporządzali poprzednio konserwatyści.

Czemu opinja publiczna w Anglii przechyliła się tak widocznie na lewo — skoro czteroletni rząd Baldwina dokonał tylu umiejętnych i szczęśliwych posunięć na terenie polityki zagranicznej, utrzymując gorliwie spokój i przyjazne stosunki nie tylko z Ameryką i krajami europejskimi, lecz i na Dalekim Wschodzie? Widocznie musiały tu zaważyć rozmaite czynniki polityczno - wewnętrzne.

Do nowego parlamentu wejdzie 13 kobiet, mianowicie: trzy z partji konserwatywnej, 9 z partji pracy i jedna z partji liberalnej. W poprzednim parlamencie było dziewięć kobiet. Córka Lloyd - George'a, jego prawa ręka i pomocnica, Miss Megan, została wybrana, jako kandydatka stronnictwa liberalnego.

W skład gabinetu Mac - Donalda weszła kobieta, posłanka Labour - Party, bardzo popularna Miss Boufield.

Będzie ona piastowała urząd ministra pracy.

W dziejach parlamentu brytyjskiego będzie też pierwszą kobietą, która zajmie stanowisko tak wysokie i odpowiedzialne.

H. S.

NIEMA PARTJI — JEST TYLKO SOLIDARNOŚĆ KOBIEC.

Piękny fakt solidarności kobiecej, zanotowano podczas ostatnich wyborów w Anglii.

Oto znana i znakomita działaczka, lady Astor, członkini stronnictwa konserwatywnego, nie chciała nigdy występować na zebraniach przedwyborczych przeciwko kandydatom innych stronnictw, jeśli tymi kandydatami były kobiety.

N. J.

WYSOKIE ODZNACZENIE GIMNASTYCZKI DUŃSKIEJ.

W ostatnich czasach król duński udekorował złotym medalem panią Björkstén, za zasługi, położone na polu wychowania fizycznego kobiet. Pani Björkstén prowadzi od szeregu lat kursy dla nauczycielek gimnastyki, urządza w całym kraju liczne popisy i, dzięki jej pracy, sport i gimnastyka wśród kobiet świetnie się rozwinięły w całej Danii, podnosząc znakomicie zdrowie i rozwój młodzieży żeńskiej.

N. J.



Miss Jenny Lee, jedna z posłanek nowego parlamentu angielskiego

DYM Z PAPIEROSA

Rozważania te będą równie odległe od traktatu na temat szkodliwości nikotyny, jak i od straszliwie gorszącej piosenki kabaretowej pod tym tytułem z przed lat piętnastu. Poprostu — kilka rad doświadczonego zawodowca dla nowozaciekłych terminatorów.

Chwileczka zastanowienia. Jak wygląda sprawa pierwszego papierosa? Nie chodzi tu bynajmniej o tajemnicze misterja konspiracyjnych się czwartoklasistów. Niezależnie od tego, czy debiut kończy się nie-miłą lokomocją w przykrym kierunku, czy przegwałtowną reakcją rodzicielską — pominiemy i przysposobienie techniczne, i psychikę — palaczy. Chodzi tu o zanalizowanie pierwszej przyczyny, dla której papierośnica narówni z innymi przyborami toaletowymi staje się nieodzowną przynależnością damskiej torebki.

Czy łatwo wyobrażamy sobie palącą czwartoklasistkę? Niebardzo. Wątpliwem jest, aby urozmaicała sobie w ten sposób równanie któregoś stopnia, lub poufne koleżeńskie zwierzenia. Rozwojowi bakcyła palenia sprzyja najbardziej salonowo - towarzyska atmosfera, zaciszny kącik pod batikowanym abażurem, czarna kawa i nieodzowne skrzyżowanie kilku prowokacyj „od męskiej strony” — jak mówią cyganki.

„Jakto, pani nie pali?” „Czyż podobna?!” „Taka postępowania pani (panna)”. „Niechże pani spróbuje, o, proszę — tu są doskonałe „gabinetowe””. „Zapewne pierwszy papieros nie będzie pani bardzo smakował, — ale zato później — pocóż pozbawiać się jednej z większych przyjemności życiowych? — zresztą, nie potrzebuje się pani odrazu zaciągać...”

Któżby się oparł? Wytwornej kobiecej dłoni tak „egzotycznie” z papierosem! Oczy palą się wzruszeniem pod równo przystrzyżoną grzywką. Złoty, cienki ustnik nabiera ponęty klejnotu. Przytem — ten wykwintny, usługowy gest podanej zapalniczki. Wprawdzie dym trochę straszy, oczy przymykają się instynktownie, a usta z przesadną ostrożnością wypuszczają błękitną smużkę. Ale o to mniejsza. Zaciągnąć się? Śliczna debutantka nie ma o tem pojęcia. Cała sztuka polega na pociągnięciu z tutki i wydmuchaniu szczypiącego dymu. Wdzięcznemu procesowi towarzyszą zachwyczone spojrzenia kusicieli i pełne aprobaty słowa:

„O, jak pani ślicznie! — prawda, że czarna kawa zupełnie inaczej smakuje? — papieros jest stworzony do pani typu”.

Jeden urok więcej. Coś, jakby nowa linja w przejrzystej żorżecie, lśnienie jedwabnej pończochy, wdzięczny zarys pantofelka. Narówni z pomadką do ust i puszką do pudru, papieros staje się orężem. Wynagradza to całkowicie niemiły smak w ustach

i zawrót głowy. Przy następnym seansie pod batikiem sprawa jest już przesądzona.

„Panna Lola? Ależ tak, naturalnie, że pali, Pani Niusiu! Pani będzie łaskawa mojego — prawda, jakie to tango prześliczne? Zupełnie inaczej się go słucha w tym błękitnym dymku”.

Jeszcze krok, i papieros stał się sojusznikiem w niewinnej dyplomacji.

„Panie Mietku! przepraszam, że panu przerywam tak miłą rozmowę, pan będzie łaskaw przyjąć tu na chwilę. Och, nic, chciałam tylko poprosić o papierosa — wiem, że pan ma Damesy, a pan Zygmunt częstuje mnie Ergo! Tak — teraz proszę dać mi ognia. Czy będzie pan tak uprzejmy przynieść tu popielniczkę? Nie tę — tamtą. Co pan porabiał w ostatnich dniach? Dawnośmy się nie widzieli. Prawda, jak się tu miło rozmawia pod tą palmą?”

Jest się już na pograniczu sytuacji:

*Zamiast ust, które jeszcze całować się nie śmia,
papieros, zapalony drugim papierosem...*

(Pawlikowska)

Za którymś tam z kolei razem panna Lola, czy pani Nusia na pytanie, czy pali, odpowiada z całą naiwnością: „o, tak, czasami, w towarzystwie”.

Jest to złudzenie. Nie pali. Tymczasem tylko udaje. Nie zaciąga się nawet. Przy pierwszych próbach w tym kierunku wyczynia niemożliwe grymasy, krztusi się i kaszle. Zrozumiawszy wreszcie, że palenie nie polega na odważnym nabieraniu dymu w usta i pośpiesznym jego wydmuchiowaniu, próbuje raz i drugi tej sztuki w samotności, lub niekrępującem towarzystwie. Wkońcu — udaje się. Dym wchodzi gładko i głęboko bez krztuszenia się i innych przykrych objawów. Następuje — pozornie druga — w rzeczywistości pierwsza faza palenia. Teraz już niekoniecznie wyczekuje się palmowo-batikowej atmosfery. W rozmowie z przyjaciółką wtrąca się od czasu do czasu: „Wiesz, mam ochotę zapalić”, albo: „Poczęstuj mię papierosem”.

I znowu mija się z prawdą. *Nie ma ochoty*, ale opanowała już gest i nie doznaje specjalnej przykrości. Korzysta przytem z okazji, żeby się wprawić w zaciąganie i nie narazić na ewentualne ironiczne „Ależ pani nie umie palić!” przy konfrontacji z prawdziwymi palaczami.

Jest to punkt, w którym można jeszcze bez najmniejszego wysiłku zawrócić. Gdyby nie światowe treningi i towarzystwo palących przyjaciółek, co zawsze trochę korci, kandydatka do nałogu mogłaby nie wiedzieć o istnieniu papierosów. Dopiero za którymś tam razem przyjdzie niewyraźne uczucie braku czegoś — daleka jeszcze od głodu, ale już niedana chęć zapalenia, zawsze jeszcze *cudzego* papierosa. Wtedy już oczy przymrużą się na moment nie z obawy przed ostrością dymu, ale z uczuciem mglistej przyjemności. Jednocześnie przyjdzie zanik na

troskę o gest zapalenia, sposób trzymania papierosa i otrząsania popiołu.

Od tej chwili datuje jeszcze nie nałóg, ale już — przyzwyczajenie.

Niezawsze jednak proces ten kluczy zawiłym, towarzysko - rozflirtowanym szlaczkiem. Ciężka sytuacja życiowa, choć sercowy, ślepa depresja — skracają tę drogę, oddając obiekt bezpośrednio w mocno zaciśnięte kleszcze nałogu. W usposobieniu, kiedy z tych, czy innych powodów, fakt: słońce świeci — jest obelgą, a każdy kwiat, choćby za szybą, uderzeniem noża pod żebra, — chwyta się, wszystko jedno przez kogo podsunęty papieros i wypala go jednym tchem, jak litościwie podany kieliszek z trucizną. Nigdy dość mdlenia i zawrotów głowy, stępienia serca i mózgu. Za pierwszym wypala się (wychyla?) drugi, trzeci, dziesiąty — tem łżej, im gorzej. Nieznośne wrażenie fizyczne odwraca resztki zdrętwiałych myśli od płonącego bólem punktu zmaltretowanej jaźni.

Po iluś tam papierosach — cóż za gwałtowny zamach na nieprzyzwyczajony organizm — można przynajmniej zwalić się, jak drzewo, ścięte skutecznym stępieniem — lub dać robotę nerwom w walce z nieznanym narkotykiem. Po pierwszej próbie idą inne. Nieznośne wrażenie fizyczne przemaga instynktowne obrzydzenie — stopniowo zresztą malejące i przeradzające się nieznacznie w potrzebę. Wślad za tem — następuje fakt znamieny. Z uczuciem lekkiej żeny kupuje się pierwsze pudełko papierosów.

I oto jest się w potrzasku. Wiadomo teraz, co stało się artykułem pierwszej potrzeby. Jest na co wydać ostatnie pięć groszy. Obce, dawniej niezrozumiałe nazwy — Ergo, Damesy, Sokoły i inne okropności, lub synonimy najżywszej rozkoszy — zdefiniowały się, niby znajome twarze najbliższego otoczenia. W razie braku — wyciąga się (stary kawał) sztuczną gilzę i gotową się jest klęknąć przed własnym furmanem z pokornym błaganiem o nieco „machorki“.

Wszystkie cierpienia mają to do siebie, że się gdzieś przecie raczą umiejscowić. Ząb — to ząb, łamanie w stawach — to łamanie w stawach; jeśli zboli kostka u nogi, to na tę chwilę kolano sobie odpocznie. Od pragnienia zasycha w gardle. Głód kurczy żołądek. Ale brak papierosów mobilizuje wyjące z głodu komórki całego organizmu. Niema gdzie przyłożyć okładu, ani maści. Wszystko boli. Gorzej: ból można znieść — zacisnąć zęby. Ale jak tu znieść coś, czego nie podobna nawet zdefiniować? Jak tu uciszyć krzyk — kiedy nie wiedzieć, co i gdzie krzyczy? Takie są skutki braku.

A sytuacje, kiedy nie można palić? Egzamin (właśnie, kiedy niezbędne jest napięcie wszystkich władz); długi, proszony obiad; seans w kinie czy przedstawienie w teatrze... Każda taka przyjemność jest podtruta abstynencją. Ważniejsza rozmowa (choćby znów odmiana tamtej — z pod batika), praca

wytężona, przebudzenie ze snu, telefon, przeczytanie listu. Dozgonny kierat, katorga, niewolnictwo.

Gdzie są te czasy, kiedy to można było zapalić i nie zapalić? Ze zdumieniem przypominamy sobie okres błogiej niewinności, czyste dzieciństwo, nie opętane przekłątą karuzelą. I w takich chwilach — zaiszte mało zbożne życzenia kierujemy wstecz, na okoliczności i osoby, co pociągnęły za sobą to konieczne zło naszego nowego zawodu.

Trzeba zrozumieć, bowiem, raz na zawsze (niech się nad tem dobrze zastanowią te, co *jeszcze nie*): papieros nie jest przyjemnością. Jest tylko ustawicznym zapobieganiem jednej z większych przykrości w życiu. To też palacze rozumieją to swoje wspólne kalectwo doskonale i nigdy sobie wzajem papierosa nie odmówią. Pieniądzy, rady, każdej przysługi — owszem — ale tej jednej rzeczy — nigdy. Wtajemniczeni rozumieją się bez słowa (nędzni współnicy z pod ciemnego znaku!). W przeciwnym bowiem razie papieros zostałby im poprostu — ukradziony.

Poza temi przykrościami paleniu towarzyszy stan chronicznego zaśmiecenia: torebki, biurka, pokoju, mieszkania, plugawość niedopałków, popiołu i popielniczek, zatrute powietrze i stopy kłopotów: czy aby mam papierosy.

Teraz — już nie przysłowiowy publicystyczny morał — ale najprostszy obrachunek. Czy *warto*? Czy jakakolwiek konieczność, potrzeba, cień potrzeby, przyjemność, *brak przykrości* choćby — pcha nas do rozpoczęcia gry, którą przegramy, nie mając szansy nawet jednej na dowolną ilość milionów? Czy cała ta pseudopostępowa, towarzyska komedyjka warta świeczki, lekkomyślnie zapalanej przed ołtarzem najbardziej tyrańskiego z bożków, noszącego pełną godności nazwę „Państwowego monopolu tytoniowego“? Lepiej już dozgonnie zobowiązać się do składania pieniężnego ekwiwalentu na dobroczynność.

Bo i to także warto sobie rozważyć. Można zawrócić, owszem — czemu nie? — wszystko można. Ale czas ten trzeba chyba spędzić w absolutnej izolacji, abyśmy nikomu nie zatruli życia i nikt nam w nieodzownym w tym wypadku zajęciu, drapaniu murów, nie przeszkadzał. Wiadomo, łatwiej grzęznąć, niż się wydobywać na wierzch. Więc jaka rada? Jakiś przecie morał wyniknąć musi?

Oczywiście, zawrócić z drogi, póki ten zawrót nie przybrał jeszcze rozmiarów lekarstwa, gorszego od choroby. Zawrócić, w miarę możliwości, także i w tym wypadku. Ale przede wszystkim — nie zaczynać bezmyślnego, niczem nieumotywowanego naśladownictwa znajomych i przyjaciół. Wytwornemu kusicielowi z pod batika odpowiedzieć z najwdzięczniejszym uśmiechem, jaki się tylko posiada w repertuarze: „dziękuję, *nie będę palić*“. Losowi, wbijającemu ostre szpony w serce: „przetrzymam. To — i jeszcze więcej“.

Wanda Borudzka.

JAK PRACUJĄ KOBIETY

III.

(Pielęgniarki i higienistki)

Te dwie gałęzie pracy — pielęgniarstwo i higiena — dziś najzupełniej złączone wspólnością i metodą pracy, przedtem szły zupełnie oddzielnymi drogami, a raczej pielęgniarstwo tylko, bo higiena nie wchodziła w zakres pracy społecznej, ani żadnej innej; najwyższej jej najjaskrawsze wymagania zamykały się w ciasnym zakresie biadań i lamentów, bez żadnego, ujętego w stały regulamin, czynu.

Pielęgniarstwo nabrało wagi i znaczenia od czasu wojny, kiedy to przeszło w ręce pań z inteligencji i tam już do dzisiejszego dnia pozostało. Po wojnie, nie chcąc utracić swego autorytetu i ważności, przerzuciło swą działalność na teren pracy społecznej, która, rozwijając się coraz bardziej, wytwarzała coraz więcej działów, między innymi i dział higieny, przy którym powołano do współpracy i dawne pielęgniarki.

Nie można sobie wogóle wyobrazić, jakby w tej gałęzi pracy zdołano się obejść bez kobiet. Są tu niezastąpione i konieczne; jest to bodaj jedyna dziedzina, z której ani męska siła, ani męska przedsiębiorczość nie mogą ich wyrugować.

Jak wspomniałam wyżej, dopiero od wojny pielęgniarstwo stało się fachem pań z inteligencji. Poprzednio zajmowały się nim albo siostry miłosierdzia, tak zwane szarytki, albo pielęgniarkami nazywano poprostu służące szpitalne, nie mające, oczywiście żadnego fachowego wykształcenia. Obecnie Polski Czerwony Krzyż prowadzi cały szereg szkół dla pielęgniarek, nie przyjmując kandydatek bez sześcioklasowego wykształcenia; istnieje też sporo kursów, wymagających minimum 4-ch klas; kształcą one nietyle wykwalifikowane pielęgniarki, ile tak zwane właśnie higienistki, o których roli pomówimy za chwilę.

Skończone pielęgniarki wypuszczają tylko szkoły, a praca ich idzie w dwóch kierunkach: szpitalnym i społecznym.

Praca szpitalna nie wychodzi po za ramy dawnych norm, jest cięższa i gorzej płatna od społecznej. Pielęgniarki szpitalne pracują 12 godzin na dobę, nie mają niedziel, ani świąt, a płatne są od 100 do 150 złotych mies. oraz otrzymują życie i mieszkanie. Jedno i drugie jednak — bardzo marne. To też coraz wyraźniej daje się zauważyć odpływ pracownic od szpitali, na korzyść tak zwanej pracy społecznej. Praca społeczna pielęgniarek i higienistek jest podzielona na kilka działów, więc:

- I. Opieka nad matką i dzieckiem,
- II. Opieka nad kobietą w ciąży.
- III. Przychodnie przeciwgruźlicze.
- IV. Przychodnie przeciwcholeryczne.

- V. Przychodnie przeciwalkoholowe.
- VI. Przychodnie przeciwjaglicze.
- VII. Przychodnie dentystyczne.
- VIII. Przychodnie weneryczne.
- IX. Liga młodych matek.
- X. Dzienna opieka nad dziećmi.
- XI. Żłobki.
- XII. Higiena szkolna.

Otóż te dwanaście punktów jest obsadzone przez pielęgniarki i higienistki. Pracują przeważnie na terenie odpowiednich przychodni, lecz punkt ciężkości ich pracy leży w odwiedzaniu mieszkań chorych i zastosowywaniu odpowiednich w danym wypadku przepisów higieny.

Wiele taktu i dobroci musi mieć taka „siostrzyczka“, aby umiała wejść pod dach nędzy i choroby, nie jak intruz i moralista, ale jako dobry, doświadczony przyjaciel, który poradzi, pocieszy i umocni na duchu. Nędza i nieszczęście stwarza zło i rozgoryczenie, trudno jest więc często trafić do tych ludzi dobrem słowem, bo słowo takie często odbija się o mur niechęci i zatwardziałego rozgoryczenia. Jednak liczne niepowodzenia i przykrości wynagradza stokrotnie jeden uśmiech wdzięczności, jeden błysk radości, w oczach i świadomość, że tyle istnień wyrwało się śmierci i chorobie. Praca społeczna pociąga ku sobie więcej, niż szpitalna, nietylko lepszą płacą, ale przede wszystkim większą samodzielnością i swobodą działania. Tu się postępuje według własnych kryterjów, na własną rękę rzuca się w tłum ludzi słowa i czyny, które potem plonują, plonują, jak najpiękniejsze ziarno.

A przytem—dzieci! cudowny, najbliższy kontakt z dziećmi i młodzieżą w żłobkach, w opiece dziennej, czyli półkolonjach, a wreszcie w „Lidze młodych matek“. Świadomość spełniania samodzielnie wielu różnych czynów, urastających do wielkości posłannictwa.

Wobec nowych zadań pielęgniarstwa, nie dziwnego, że pielęgniarki muszą być inteligentne i wykształcone. Jednak dziewcząt, kończących szkoły, jest ciągle za mało; więc w odwiedzaniu rodzin po domach zastępują je przeważnie higienistki, t. j. te, które ukończyły kursy.

Zastęp pielęgniarek rok rocznie się powiększa, napływ chętnych jest duży; jak wyżej zaznaczyłam, praca na terenie społecznym pociąga i zacieka, a przytem i warunki pracy lepsze, niż w szpitalnictwie, bo przede wszystkim jest tylko 8 godzin pracy, niedziele i święta wolne, pensja zaś wyższa, bo około 300 zł. mies.

Poważny minus w pielęgniarstwie stanowi to jeszcze, że doktorzy nie mogą się przyzwyczaić do pielęgniarek z inteligencji i ciągle, szczególnie w szpitalnictwie, traktują je, jak dawne pielęgniarki - służące, nie mogąc się pozbyć dawnego, przedwojennego tonu. W pracy społecznej, u której zaczątków od razu stanęły kobiety inteligentne, i tego minusu niema. Dokto-

rzy odrazu chwycili odpowiedni ton, i dlatego atmosfera pracy jest o wiele przyjemniejsza.

Ogólnym dążeniem jest, aby wszystkie pielęgniarki kończyły szkoły i aby ich było coraz więcej, bo coraz więcej jest placówek do obsadzenia. Obecnie każda kończąca szkołę, natychmiast dostaje posadę. Warto więc nad tym fachem pomyśleć, tembardziej, że obecnie jest to fach najzupełniej „inteligentny“.

Zofja Miszewska.



O SYSTEMATYCZNOŚCI I PORZĄDKU

Nieocenioną pomocą w zaoszczędzaniu czasu i sił jest systematyczność i porządek. Decydujący głos ma tu pani domu i ona nadaje pod tym względem wyraz swemu domowi.

Ogarniając całokształt swego domowego życia, musi podzielić każdy dzień na części, w których godzina będzie grała decydującą rolę. Od wszystkich domowników musi wymagać przystosowania się do określonych godzin. Rozumieć powinna wartość czasu i tego, co on dać może, jeśli jest umiejętnie wykorzystany, i tę świadomość wpajać w swoje otoczenie. Obowiązkiem jej jest świecić przykładem, bo zasada, nie poparte czynem, nie ma żadnego znaczenia.

Podstawą porządnego prowadzonego domu są ściśle określone godziny wstawania i posiłków. Na Zachodzie znane są wszystkim stałe godziny zajęć, lunch'u i obiadu. U nas prawie każdy dom ma inną porę posiłków, dostosowując ją do instytucji, w której pan albo też oboje państwo pracują; stąd może trudniej jest porę tę usystematyzować. Biorąc jednak pod uwagę różnorodność pory obiadowej u nas w kraju, nie możemy kwestjonować punktualności, która powinna obowiązywać każdego w domu. Punktualność prowadzi do systematyczności, która wiąże się z poczuciem porządku.

Są to cechy przeważnie dziedziczne, dające się jednak wypracować. Od wczesnego dzieciństwa należy wpajać poszanowanie przedmiotów i zabawek, którymi dziecko rozporządza, i wymagać utrzymania tych rzeczy w porządku. Dziecko, przyzwyczajone do ostrożnego obchodzenia się z zabawkami, odda tę zabawkę później innemu dziecku, a w małej jego główce zrodzi się powoli świadomość, że przedmiot porządnym, uszanowanym, zrobił innemu dziecku tyle radości. Zakorzeniony od dziecka zwyczaj zostanie, jako podstawa porządku i ładu w domu i wokół siebie.

Pewną dziewczynkę przyzwyczajano do takiego systemu postępowania. Jako dorosła kobieta, miała

jeszcze dużo ślicznych zabawek, które rozdawała dzieciom, a część przekazała własnej córce. W swoje dziecko wpajała tę samą zasadę poszanowania zabawek i książek, to też córka jej, pomimo bujnego temperamentu i wesołości, wyrosła na kobietę zamilowaną w porządku. Natomiast inna dziewczynka, córka porządnego ojca i dziedzicznie nieporządnej matki, od wczesnego dzieciństwa psuła z pasją wszystkie zabawki i książki, co było tolerowane. Jako kilkunastoletnia dziewczynka, wzbudzała rozpacz chaotycznością i nieporządkiem, chociaż lata całe spędzała w domu bardzo systematycznej i porządnej osoby. I wielkiej cierpliwości i pracy trzeba było, żeby tę nieporządną panienkę choć trochę urobić.

Biorąc tedy za podstawę wpajanie porządku od dziecka, wymagać trzeba od wszystkich domowników starannego obchodzenia się ze wszystkim, co się w domu znajduje. Zwracać też trzeba baczną uwagę na układanie każdego przedmiotu na właściwym miejscu. Nie traci się wówczas czasu na poszukiwania i nie razi nikogo widok nieporządku i niedbalstwa. Dzieci i domownicy powoli się do tego systemu przyzwyczajają. Nauczyć również należy przygotowania z wieczora wszystkiego, co może być potrzebne rano przy wyjściu do szkoły, lub do zajęcia, i żądać pozostawiania każdego przedmiotu na właściwym miejscu.

Przy takim postępowaniu domowników zaoszczędzi się pani domu wiele czasu, a dom nabierze wyrazu porządku i kultury.

O ile jest w domu służba, od niej też należy tego wymagać i wdrażać do systematyczności.

Nieodłączną częścią ogólnej systematyczności i porządku będzie przyzwyczajanie do zjadania wszystkiego, co się podaje, do oszczędnego zużytkowania towarów, produktów, paliwa. Dalej idzie poszanowanie ubrania i bielizny, przyczem od dziewczynki wymagać trzeba naprawienia odrazu rzeczy uszkodzonych (dziś słyszymy głosy za samowystarczalnością w tym względzie i u chłopców).

Dzieci ubierać trzeba skromnie i tanio, żeby nie czuły się skrępowane ubraniem, żeby nie potrzebowały bezustannie myśleć o jego całości, wymagać jednak uwagi i poszanowania rzeczy.

Biorąc na siebie zorganizowanie dnia roboczego w domu, trzeba zmuszać do samodzielnego myślenia służbę. Uczyć zawczasu córki, które też kiedyś będą zmuszone do zajmowania się własnym domem, co robić, aby wykorzystać jaknajlepiej czas i, oszczędzając siły własne, stworzyć w domu atmosferę ładu i porządku, które są istotnym wyrazem naszej kultury.

A czy ten własny „home“ będzie jednym pokojem, czy też apartamentem, czy trud utrzymania go w porządku spada wyłącznie na nas, czy na służbę — wyraz jego będzie zależał od tego, co weń same włożymy.

Z pojęciem porządku wiąże się ściśle wyobrażenie czystości. Jest to tak stara prawda, że zbędnym

zdawałoby się o tem przypominać. Ale, niestety, na balu widziałam młodą pannę z niesłychanie brudnymi plecami, na których odcinała się wyraźnie linja zdjętej koszuli. Jeżeli odważyła się iść tak na bal — można sobie wyobrazić, jaka czystość i jaki porządek panowały w jej domu! Bo niewątpliwie osobę, zamiłowaną w osobistej czystości, razić będzie zawsze brud i nieład wokoło.

W zbiorowiskach pracujących kobiet, rozporządzających tylko jednym pokojem, te cechy poczucia osobistej czystości i płynącego stąd ładu wkoło siebie, uwidoczniają się w sposób jaskrawy. Otwierając tak pokolei drzwi do pojedynczych pokoi w pewnej instytucji społecznej, odgadnąć mogłam przeważnie osobiste zalety zamieszkujących je pań. Zauważyć to samo można w hotelach, w pensjonatach, w podróży — wszędzie.

Nie należy się tłumaczyć brakiem czasu, jeżeli wokoło nas panuje nieporządek. Bo jeżeli się jest panią domu, wyłącznie temu domowi oddaną, zachowanie w nim ładu, porządku i czystości jest naszym obowiązkiem. Jeżeli się jest kobietą pracy, a jednocześnie panią domu, to, wprowadzając doń systematyczność i porządek, zaoszczędzimy sobie wiele czasu i sił, a pobyt w nim uważać będziemy za wytchnienie. Czysto i porządnie utrzymany dom zależeć będzie wyłącznie od naszej kultury, od naszego wrodzonego lub nabytego poczucia porządku. A czy to będzie szereg pokoi, czy jedna izba — wyraz pozostanie ten sam.

Przy takim systemie unikniemy gwałtownych „porządków” z powodu świąt lub innych uroczystości. Unikniemy chowania po kątach rozwleczonych po domu przedmiotów, kiedy zajdzie nas ktoś obcy i przepraszać go musimy za nieporządek i nieład.

Stają mi przed oczami te widziane u nas i po świecie domy. Izby czworaczne, gdzie w jednej sieni mieszkają dwie różne gospodynie, wiejskie chałupy, obok siebie stojące, zarówno zzewnątrz jak i wewnątrz świadczą o swej gospoynie: pojedyncze, odnajęte pokoje, tak różne w wyrazie, i różnorodne duże lokale, odrazu zdradzają swoistą cechę pani domu.

Każda z nas — młoda, czy stara — w $\frac{9}{10}$ przypadków dba o swój zewnętrzny wygląd. Wiedzioną instynktem, kierowana kobiecą intuicją, stara się wyglądać ładnie, lub, w starszym wieku, conajmniej czysto i estetycznie. Wielki esteta, Ruskin, w jednym z kanonów swojej teorii o estetyce, kazał kobiecie „być piękną”. A czyż można sobie wyobrazić piękno wśród nieporządku i bezładu i czy to nie umniejsza jego wielkości?!

Dbając tedy o siebie, zabiegajmy troskliwie o własne otoczenie. Przyjmując systematyczność za zasadę, a porządek za obowiązek — zaoszczędzimy wiele czasu i sił. Pomocą nieocenioną będą nam tu zdobycze, które wiedza techniczna stworzyła do naszego użytku.

M. Dobrowolska.

PIELĘGNACJA SZPARAGARNI PO ZBIORZE

Plon szparagów zależy głównie od stanu szparagarni po zbiorze. Pamiętać należy, że im zdrowsze i bujniejsze będą łęciny szparagów w ciągu lata, tem większy zapas pożywienia zbierze się w karpach, tem bogatszy będzie zbiór w roku następnym. Żeby zaś otrzymać bujny wzrost łęcin, trzeba odpowiednio zasilic i uprawic glebę. Zaraz więc po zbiorze powinniśmy przystąpić do uporządkowania szparagarni.

Pierwszą naszą czynnością będzie rozrzucenie obornika pomiędzy kopczykami. Obornika żalować nie należy, trzeba rozłożyć go grubą warstwą. Następnie motykami rozgarnąć kopce, wskutek czego nawóz zostaje przykryty. Jeżeli szparagarnia prowadzona jest starym sposobem w duże, szerokie wały — to wały te należy możliwie rozgarnąć, a następnie nawóz rozestlać i przekopać amerykańskimi widłami.

Większe szparagi, jakie znajdują się w kopcach, zostaną przy tem wyłamane, krótkie zaś pozostaną, pozielenieją i będą pierwszymi łęciny. Nie należy jednak odkrywać ich całkowicie, gdyż wystawione na silnie palące czerwcowe słońce, mogłyby ulec przypaleniu.

Pożądany jest przy zasilaniu szparagarni dodatek nawozów sztucznych, tam zwłaszcza, gdzie z jakichkolwiek przyczyn trudno jest o większą ilość dobrego, przetrzawionego obornika. Obornik możemy dawać nie każdego roku — co 2 — 3 lata — a zastąpić go nawozami sztucznymi.

Sól potasową i superfosfat dajemy przed rozsypianiem kopców. Jeżeli nawozy sztuczne traktujemy, jako dodatek do nawożenia obornikiem — to sypicemy je później przed pierwszym czyszczeniem szparagarni. Saletrę lepiej dać później, gdy łęciny szparagów już się zazielenią, a mianowicie: przed pierwszym oczyszczeniem z zielska pół dawki, i drugie pół przed następnem czyszczeniem.

Co do ilości nawozów sztucznych, to radziłabym następujące ilości na ar (100 m² lub blisko 5 i pół przęta kwadratowego):

kwasu fosforowego 1.2 kg. = 7 kg. superfosfatu 17%;

potasu 1.6 kg. = 6 kg. soli potas. kałuskiej 27%;

azotu 0.6 kg. = 3 — 4 kg. saletry chilijskiej, lub sztucznej chorzowskiej 15.6%. Saletry amonowej damy tylko 1.7 kg., gdyż zawiera ona 35% azotu.

Mniej więcej w miesiąc po rozsypianiu kopców, a więc około połowy lipca, przystępujemy do czyszczenia szparagarni z chwastów, które już zdążyły się pokazać. Przed motyczeniem dajemy pół dawki saletry (1.5 — 2 kg. saletry chilijskiej na 100 m²). Jeżeli łęciny szparagów jeszcze się nie rozrosły i nie rozgałęziły, stoją sztywno — to możemy do tej roboty

użyć bądź planeta konnego, nastawionego, jako opiekacz, bądź planeta ręcznego; ręcznie zaś oczyszcza się tylko koło samych krzaków. Sposób ten jest prędzyszy a co zatem idzie — dużo tańszy i wymaga mniejszej ilości rąk roboczych.

Drugie oczyszczenie letnie robi się zwykle w sierpniu. Wtedy należy dać drugą dawkę saletry (1.5 kg — 2 kg saletry na 100 m²). Łęciny szparagów są już w pełnym swym rozwoju, pochylają się na wszystkie strony; musimy więc oczyścić ziemię motykami i rękami — gdyż narzędziami mechanicznymi zbyt dużo wyłamałibyśmy łęcin — a tem samem osłabilibyśmy karpy.

Szparagarnia rzadko wymaga jeszcze trzeciego oczyszczenia — gdyż bujnie rozrośnięte łęciny ocieniają ziemię i utrudniają rozwijanie się zielska.

Na jesieni, kiedy łęciny zaczynają żółknąć, zwykle w końcu września, lub na początku października — ścinamy je i usuwamy z terenu szparagarni. Bardzo wskazane jest spalenie łęcin, aby zniszczyć szkodniki, które mogłyby gnieździć się na nich. Łęciny ści-na się na 15 — 20 cm nad ziemią; szczątki łęcin wskazują na przyszły środek karpy, a więc ułatwiają nam kopcowanie wiosenne.

Po ścięciu łęcin, o ile pozwoli na to czas i pogoda, powinno się raz jeszcze oczyścić szparagarnię przed zimą. Czynność tę możemy wykonać znów planetem ręcznym lub konnym.

W przeciętnych warunkach w naszym klimacie nakrywać szparagarni na zimę nie potrzeba. Można jednak rozrzucić na jesieni między szparagami przegniły nawóz, a lepiej jeszcze kompost (o ile kto posiada dostateczne jego zapasy) — który zostanie wymieszany z ziemią w czasie wiosennego kopcowania. Taki dodatek kompostu pozwoli nam później stosować słabsze dawki obornika, a posługiwać się tylko nawozami sztucznymi.

Zofja Wróblewska.

PAMIĘTAJMY O ZIMIE

Ze wszystkich okolic kraju dochodzą nas hołowe wieści o strasznych spustoszeniach, jakie w sadach owocowych poczyniła surowa zima.

Nie wszystkie, na szczęście, drzewa owocowe wyginęły; miałam możność przekonać się o tem, jadąc w połowie maja do Poznania. Na szosach, obok drzewek obumarłych, smętnie wznoszących ku niebu swe suche konary, — były inne, gęsto pokryte białym różowym kwieciami, które mówiły, że jeśli czereśni będzie mniej, niż zwykle, to jednak nie wszystkie one wyginęły. W samym Poznaniu widziałam śnieżno-białym kwieciami okryte grusze i różowym — jabłonie.

Z wielu jednak okolic piszą, że przeszło 60 proc. drzewek owocowych zginęło. Wobec tego, że owocu u nas nigdy nie jest za dużo i że nawet w latach urodzajnych zamało go jadamy — rok ten będzie dla gospodyń bardzo ciężki.

Lekarze i higieniści każą owoce wprowadzać do codziennych jadłospisów, szczególnie dla dzieci i dorastającej młodzieży; i to nie jako smakołyki, lecz jako jeden z podstawowych artykułów odżywiania. Marmelada lub „jam“ owocowy do pierwszego śniadania, — o ile niema świeżych owoców — marmelada do chleba na drugie śniadanie, kompot do obiadu, takież kompot lub świeże owoce do kolacji. Jakgdybyśmy zamieszkiwali południe Francji lub Włochy!

Nawet w latach urodzajnych świeże owoce możemy jadać tylko latem i jesienią. Bo najtrwalsze nasze gruszki i jabłka trwają zaledwie do Nowego Roku. To, co potem jest w handlu, nie mówiąc już o cenie, jest tak marne smakowo, że mało kogo skusi. Dawniej mieliśmy tanie pomarańcze. Teraz, dla przyczyn niezrozumiałych, nałożono na nie cło ogromne i narówni z bananami i ananasami uznano je za artykuł zbytku, a nie pierwszej potrzeby; stały się też one dla ludzi pracujących zupełnie niedostępne. Która, średnio - zamożna matka, może obdzielić pomarańczami kilka osób w rodzinie, płacąc po 1½ zł. za sztukę, kiedy tyle powinien wynosić koszt śniadania i obiadu dla każdej z tych osób?!

Żeby choć jakkolwiek dopełnić ten brak świeżych owoców, musimy się uciekać do owoców suszonych, marmelad i kompotów. Na te ostatnie używaliśmy dotąd przeważnie owoców ziarnkowych i pestkowych: wszelkich gatunków gruszek, śliwek i czereśni. Wobec przewidywanej drożyzny tych właśnie gatunków, przezorne gospodynie powinny, nie czekając jesieni, zaopatrzyć się w możliwie duże ilości marmelad i kompotów z jagód — gdyż krzewy jagodowe, dzięki grubej warstwie śniegu, nie przemarzły i rokuja duży urodzaj.

Oprócz jagód wszelkiego rodzaju, wyborne marmelady i kompoty można przyrządzać z rabarbarum.

PRZED WYJAZDEM NA LATO TRZEBA KONIECZNIE KUPIĆ KSIĄŻKĘ p. t.

„DOBRA GOSPODYNIA WYJEŻDZA NA LATO”

bo nauczy ona, jak zabezpieczyć dom i w co się zaopatrzyć należy.

CENA 1 zł. 50 gr.

Z PRZESYŁKĄ POCZTOWĄ 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja — Warszawa, Plac Zamkowy 9, po otrzymaniu należności przekazem, lub na konto P.K.O. T-wa „Bluszcza”, Nr. 13.555.

Marmelada z tych pocziwych łądyg, aromatyzowana odrobiną skórki cytrynowej, jest tak smaczna, że po niej najlepsze jabłeczne nie smakują. Smażąc ją, należy brać nieco więcej cukru, niż na jabłeczną i dodawać po pół pastylki benzoesu na kilo konserwy, aby nie fermentowała.

Wyborna jest również marmelada z agrestu. Można na nią używać agrestu zielonego, biorąc nieco więcej cukru, lub dojrzałego, który choć mniej cukru wymaga, jednak, mając grubsze łupiny, mniej dobrze się na masę rozgotowuje.

Tam, gdzie agrestu mało, bo jeszcze panuje napastująca go grzybkowa zaraza — dobre powidła lub marmeladę można robić z porzeczek, z gorszych malin, z drobniejszych truskawek, — tylko nie z poziomek, bo te, o ile nie są smażone w dużej ilości gęstego syropu, jak na konfiturę, dają nieprzyjemną goryczkę z długo gotowanych ziarenek.

Muszę też zwrócić uwagę pań gospodyń na owoc, u nas w pogardzie będący. Są to włochinie, w niektórych miejscowościach kraju sinicami lub pijanicami zwane. Rosną one w wilgotnych lasach w sąsiedztwie ziela, bagnem zwanego.

Mają silny aromat, który przy jedzeniu ich na świeżo działa odurzająco; w marmeladzie, kompotach i konfiturach są wyborne i zupełnie mogą zastąpić bardzo u nas zwykle drogie porzeczki czarne, do których po usmażeniu ludzako są podobne. Czarne jagody, których zwykle się robi duży zapas w butelkach, zmieszane z włochiniami, są znacznie smaczniejsze i aromatyczniejsze.

Jeśli pomyślimy o kompotach, to znowu musimy zacząć od rabarbaru. W latach urodzajnych żałowaliśmy na nie kosztownych słoików od Wecka. W tym roku musimy się zdecydować napęlić niemi dużą ich ilość. Kompot zimowy z rabarbaru zastąpi nam i jabłka, i gruszki. Należy łądygi po oczyszczeniu z włókien wrzucić na pół minuty do gotującej się wody, wyjąć, przelać zimną wodą i dopiero wtedy krajać w kawałki, a to w tym celu, aby były bardziej miękkie i więcej ich w słoju się zmieściło. Dla aromatu należy kłaść w słoje po kawałku cienko skrajanej skórki cytrynowej.

Agrest zielony daje wyborny i ładnie wyglądający kompot. Truskawki, chociaż kolor tracą, dobrze zachowują kształt owocu, jak również cały smak i aromat, to też należy zrobić na zimę jaknajwiększy ich zapas.

Gorzej jest z malinami, które zawsze ostatecznie się rozgotowują. Tylko syrop z nich, smaczny i pachnący, jest dobry — same maliny są papką bez kształtu i koloru.

Na wszelkie drobne owoce jagodowe, jako to: porzeczki białe, czerwone, różowe, czarne, jagody czarne, włochinie, a nawet na leśne maliny i drobne wisienki — szkoda kosztownych słoików. Kompoty z nich można gotować w zwykłych butelkach, dobrze zakor-

kowanych odrutowanym korkiem. Trzeba tylko pozostawić na dwa palce pustego miejsca niżej szyjki, a po ugotowaniu i ostudzeniu kompotu korek umaczać w parafinie.

Pani Elżbieta.



KURCZĘTA SMAŻONE — PO WIEDEŃSKU.

Oczyszczone, jak zwykle, młode kurczęta rozkładać na cztery części, osolić i potrzymać tak osolone godzinę. Ubić pianę z paru białek, utarzać kawałki kurcząt w mące, następnie w tej pianie, na koniec w tartej bułeczce i natychmiast smażyć, jak pączki, w obficie roztopionym smalcu lub fryturze. Ułożyć w piramidkę na półmisku, ubrać zieloną, smażoną pietruszką i ćwiartkami cytryny. Oddzielnie podać sałatę z oliwą, cytryną i pokrajanymi w plasterki jajami, na twardo ugotowanymi.

PAPRYKACZ Z KURCZĄT — PO WĘGERSKU.

Troje większych kurcząt, dobrze oczyszczonych, rozkładać na ćwiartki, posolić na godzinę. Dużą, łagodnego smaku cebulę usiekać drobno, zrumienić na złotawy kolor w dużej łyżce masła. Włożyć w to masło kurczęta i dusić wolno pół godziny, podlewając od czasu do czasu wodą (razem około półtorej szklanki wody). W ciągu tego czasu kurczęta, powinny zmęknąć. Gdyby były twarde, dusić jeszcze dziesięć minut. Kurczęta wyjąć, do sosu wsypać dwie łyżki mąki, zasmażyć, rozprowadzić dobrą szklanką gęstej, kwaśnej śmietany, dodać na koniec noża ostrej, lub deserową łyżkę łagodnej papryki, włożyć w ten sos kurczęta, dodać soli do smaku i dobrze razem zgotować. Oddzielnie zrobić z czterdziestu deka mąki i dwóch jaj lekkie klusieczki kładzione. Ugotować je w osolonym wrzątku, połączyć dziesięcioma deka zrumienionego masła, ułożyć w środku półmiska. Wkoło ułożyć kurczęta, połączyć je sosem, resztę sosu wylać na klusieczki. Żołądki kurcząt dusi się razem; wątróbki należy oddzielnie usmażyć lub odgotować i dodać do kurcząt już na półmisku.

GRZANKI Z MÓZDŻKIEM.

Mózdzek cielęcy wymoczyć, ściągnąć z niego krwawą błonkę. Utrzeć na tarce dużą cebulę, zasmażyć ją, nie rumieniąc, w łyżce masła, włożyć mózdzek i dusić wolno, wciąż ucierając łyżką, aż się zrobi gładka masa. Wsypać łyżkę mąki, rozprowadzić

słodkimi mlekiem do gęstości beszamelu, zagotować razem. Osolić, popieprzyć, ostudzić. Z długiej bułki otrzeć na tarce skórę, pokrajać na dwadzieścia cienkich (na mały palec) plastrów. Połowę z nich posmarować masą mózdkową, przykryć drugą połową, mocno ścisnąć. Umaczać w mleku, rozłożyć na półmisku, dać postać godzinę, aby bułka dobrze wybrzękła. Przed samem podaniem utarzać w rozbitym jajku, potem w mące po połowie z bułeczką i smażyć na rumiano na szmalcu, maśle lub fryturze. Podawać zamiast pasztecików do zupy, lub też obkładać takimi grzankami szpinak, groszek, brukselkę, czy inną jarzynę.

KREM „PALFFY”.

Filizankę mleka, cztery żółtka, cztery łyżki cukru i cał wanilji ubijać w rondelku, aż masa zgęstnieje, ostudzić. Szklankę kremowej śmietanki ubić na gęstą pianę. Zmieszać oba kremy razem, dodając do nich trzy listki żelatyny, wymoczonej w zimnej wodzie i rozpuszczonej w dwóch łyżkach gorącej. Kryształową salaterkę wyłożyć lekkimi biszkopcikami, skropić je lekko jakimkolwiek owocowym likierem. Położyć połowę kremu, na krem jakiegokolwiek konfitury, na nie drugą połowę kremu. Posypać pokruszonymi drobno biszkopcikami, zmieszanymi po połowie z drobno usiekanymi orzechami. Postawić krem na trzy godziny na lodzie. Podawać w tej samej salaterce.

Pani Elżbieta.

KORESPONDENCJE

Pani M. M. — Ostrów. — Zeszyt „Życia Praktycznego” — o kroju i szyciu rzeczy dzieciennych — jest już w druku. Poza tym mamy na składzie „Najnowszy krój” Bobrowskiej, zawierający dokładne wskazówki kroju i szycia.

Pani W. S. — Nieboczowy. — Wkrótce podamy wzory kuchenne. Firanę można zrobić z białego batystu, z kolorową aplikacją, albo z rzadkiej surówki w łatwe mereżki.

Pani M. M. — Nowy Dwór. — Niech się Sz. Pani zwróci do Muzeum Rzemiosł: Chmielna 52, albo do szkoły rzemieślniczej Imienia Konarskiego: Leszno 72, lub Nowowiejska 57.

Pani J. S. — Lwów. — Czarne porzeczeki smaży się w sposób następujący: wybrać piękne, dojrzałe gronka, poobcinać największe jagody nożyczkami, uważając, aby ich nie kaleczyć. Obrąć z szypulek, umyć czysto, włożyć do rondla i zalać małą ilością zimnej źródlanej wody. Postawić na ogniu, a ponieważ mają bardzo twardą skórę, zagotować je powoli kilka razy, aż zmiękną. Wtedy wsypać w wodę, w której gotowały się jagody 60 deka cukru na 40 deka porzeczek i smażyć aż do zgęstnienia syropu. Można, zamiast obgotować jagody, nakłuć je cienką szpilką i sparzyć ukropem.

KURS PRODUKCJI I ZBIORU ROŚLIN LEKARSKICH.

Centralny Związek Kółek Rolniczych łącznie z Centralnym Towarzystwem Rolniczym urządza od dn. 20—30 czerwca w Warszawie kurs roślin lekarskich. Kurs ten ma na celu zapoznanie z florą krajową, metodami zbioru i suszenia, oraz z uprawą ważniejszych ziół lekarskich.

Zapisy przyjmuje Centralny Związek Kółek Rolniczych (Dział Ogrodniczy) ul. Tamka 1, tel. 236-31 i Centralne Towarzystwo Rolnicze (Dział Ogrodniczy) ul. Kopernika 30, tel. 405-65 w godz. 9—3.

KONKURS BALKONOWY K. M. O.

Koło Miłośników Ogrodnictwa zawiadamia, że zwyczajem dorocznym ogłasza konkurs na balkon, najpiękniej ubrany roślinami żywymi. Komisja Koła — po dwukrotnym obejrzeniu w ciągu lata — wyda we wrześniu orzeczenie, komu zostanie przyznana nagroda. Nagrody będą wydane w naturze, w postaci przedmiotów wartościowych. I-szą nagrodę stanowi cenna przechodnia patera brązowa, ofiarowana przez odlewnię bronzów artystycznych Wasilewski i S-ka. Informacji udziela i zgłoszenia przyjmuje Biuro naszego Koła: Al. Jerozolimskie 45 m. 4 — tel. 32-35.

UNIWERSYTECKA SZKOŁA PIELEŃNIAREK I HIGJENISTEK W KRAKOWIE

otwiera nowy kurs dnia 1 lutego 1930 r. Nauka trwa 2 lata; przyjmuje się tylko internistki. Wykształcenie: 6 klas gimnazjalnych, lub równorzędne. Zgłoszenia: Dyrekcja Uniwersyteckiej Szkoły Pielęgniarek i Higjениstek: Kraków, Kopernika 25.

WŁOSÓW WYPADANIE I ŁUPIEŻ USUWAJA
ESENCJA I MYDŁO
CHINOWO-CHMIELOWE (z „KOGUTKIEM”).
SPRZEDAJĄ APTEKI, SKŁADY APTECZNE
I PERFUMERJE. — GŁÓWNY SKŁAD:
APTEKA A. GAŚECKIEGO W WARSZAWIE, FRETA 16.

HEMOROIDY CZOPKI **VARICOL**
HEMOROIDALNE.
USUWAJĄ BÓL, SWĘDZENIE, PIECZENIE I KRWA-
WIENIE. ZMNIEJSZAJĄ GUZY (ŻYLAKI). — SPRZE-
DAJĄ WIĘKSZE APTEKI. — SKŁAD GŁÓWNY —
APTEKA A. GAŚECKIEGO, W WARSZAWIE, UL. FRETA 16.
ORYGINALNE Z MARKĄ FABRYCZNĄ „KOGUT”

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocz-
nie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9. Konto P.K.O. — Warszawa 3700

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.
Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Telef. 244-75.
Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Ryńska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

Kilka uwag w sprawie rozrywek dziecięcych.

Artykuły p. Tropaczyńskiej o filmach i kinematografii dla ludu przypominały mi rzadko omawianą, a co ważniejsze — przeważnie nie wychodzącą poza ramy teoretycznych rozważań lub dyskusyj, kwestję filmów i przedstawień kinowych dla dzieci. Nie będę mówiła o ich znaczeniu, zdaje się bowiem, że rodzice i wychowawcy zgadzają się z tym poglądem, że kino jest poważnym czynnikiem, kształcącym umysł i serce dziecka. Nauczyciele niejednokrotnie zabierali głos, podkreślając znaczenie kina, jako środka, ułatwiającego naukę szkolną. Do niektórych szkół — wprawdzie bardzo nielicznych — już je w tym celu wprowadzono.

Ja dzisiaj chciałabym wspomnieć o kinie, poruszywszy jednak temat bardziej ogólny, dotyczący rozrywek dziecięcych. Że są one konieczne, rozumiemy to dobrze. Tyle o ich znaczeniu mówiono i pisano!

Zresztą, nie wnikając nawet w psychikę dziecka, możemy ocenić ich wartość, jeśli zastanowimy się nad tem, jaką rolę odgrywają w życiu naszym — ludzi dorosłych. To też sporo jest rodziców, którzy dbają o dostarczenie rozrywek swym pociechom.

Sądzę jednak na podstawie obserwacji, że przeciętne dziecko ma ich stanowczo zbyt mało. Może to jest jedna z przyczyn, składających się na to zjawisko, które podobno rzuca się u nas w oczy cudzoziemcowi: że nasze dzieci są za poważne, za mało radosne.

Bo też przeciętnemu dziecku mało radosnego urozmaïcenia nasuwa życie! Gdy jest zimno, upływają mu chwile w mieszkaniu, najczęściej ciasnym, gdzie każdy sprzęt tamuje swobodę ruchów, gdzie przemęczeni pracą rodzice wymagają spokoju. Dobrze jeszcze, jeśli małego promyka radości nie zabiorą mu tak pospolite dzisiaj rozterki wśród rodziców.

Gdy jest ciepło, małym „ludem“ zapełnia się ulica *), która jednak, prócz gorszących scen i miazmatów chorobotwórczych, unoszących się z cuchnących rynsztoków, nie daje nic. Pełne dzieciarni są też podwórka, rzadko zadrzewione, najczęściej brudne, z okazałymi śmietnikami.

*) Mam na myśli małoruchliwe ulice miasteczek prowincjonalnych, chociaż to samo widzę nieraz w dużych miastach, nawet i w stolicy — na krańcach.

Czasem, korzystając z bliskości pól i lasów, mniejsza lub większa gromadka, bez żadnej opieki, wymyka się za miasto. Dziwić się nie można, jeśli które z tych dzieci, puszczonej samopas, popełni jakieś wykroczenie, lub wyrządzi szkodę.

Byłoby zupełnie inaczej, gdyby istniały „ogródki dziecięce“. Tutaj dziecko spędzałoby czas wesoło, z pożytkiem dla zdrowia. Niestety, dzisiaj ogródki są jeszcze rzadkością. W niedostatecznej ilości posiadają je duże miasta — w małych prowincjonalnych „dziurach“ są zbytkiem, którym sobie ludzie głów nie zaprzatają. Czasy, kiedy najmniej nawet miasteczko będzie miało śliczny, pełen zieleni, ogród dla dzieci, a przy nim halę, przeznaczoną na okres słotny lub zimowy — są jeszcze bardzo, bardzo dalekie.

Któż jednak, jak nie my, kobiety, ma dążyć do ich przybliżenia? Obowiązek ten ciąży na organizacjach i zrzeszeniach kobiecych, którym leży na sercu zdrowie fizyczne i moralne dziatwy; ciąży również na tych kobietach, które piastują mandaty radnych miast. Zwykle zdobycie kawałka placu nie jest rzeczą trudną, chodzi tylko o urządzenie go i opłacanie osoby, prowadzącej zabawę i czuwającej nad dziećmi. Nie obciążą to budżetów miejskich. Może w niejednym wypadku będzie można zaoszczędzić na ten cel grosze, dziś wyrzucane niepotrzebnie na drobnostki. Wróć się one z lichwiarskim procentem w zdrowiu dzieci.

W niejednym miasteczku jest park, w którym od czasu do czasu odbywają się zabawy z orkiestrą, kołem szczęścia i t. p. atrakcjami, ale tylko dla dorosłych.

Dziecko dla siebie nie znajdzie nic. Niezmierznie rzadko słyszę o zabawie, urządzonej wyłącznie dla dzieci.

Wartoby pomyśleć o tem, aby przy odrobinie pomysłowości i trudu, chociaż parę razy do roku dać dzieciom niezapomniane chwile przyjemności.

A teraz przejdźmy do innego rodzaju rozrywek, których dostarcza kino i teatr. Jak dzieci są ich spragnione, przekonywam się zawsze, ile razy patrzę na wypełnioną po brzegi salę kinową czy teatralną. Świat czaru i poezji, za którym dziecko przepada, a do którego dostaje się przez scenę lub ekran, żłobi w jego duszyczce niezatarte ślady, o czym świadczyć mogą rozmowy na temat widzianego i słyszanego, albo nasze wspomnienia z dzieciństwa. Niestety! są to rozrywki zbyt rzadkie. Przedstawienia teatralne, stałe i na odpowiednim poziomie, organi-

zowane są chyba jedynie w stolicy. Prowincja korzysta przeważnie z przedstawień szkolnych, które dużo pracy wymagają i zbyt odrywają młodzież od nauki, aby je można było często urządzać. Nasuwa mi się jednak pewien projekt.

W każdym miasteczku jest gromadka pań, nudzących się z powodu bezczynności. Niektóre z nich mają niewyzyskane talenty: malarskie, aktorskie, literackie i t. p. Proponuję poświęcić je dzieciom, t. j. w pewnych odstępach czasu organizować przedstawienia dziecięce. Trupa mogłaby powstać np. z dorosłej młodzieży, która skończyła już szkołę i dla której przedstawienia te byłyby miłym urozmaicheniem czasu, a większem jeszcze — wymarsze lub wyjazdy do okolicznych wsi, gdzie dziatwa, pozbawiona całkowicie rozrywek, napewno przyjąłaby „aktorów“ z entuzjazmem *).

Gorzej przedstawia się sprawa z kinem dziecięcym, z powodu zupełnego niemal braku odpowiednich filmów. Jeżeli afisz głosi: „dla dzieci wstęp dozwolony“, to najczęściej jest to film, który dosadnie można określić: „głupi“. Wartościowych filmów, stworzonych dla dzieci i w miłym tonie przedstawiających światki dziecięcy, chyba jest tak niezmiernie mało, że trudno się z nimi spotkać. Nic dziwnego! Dla przedsiębiorstw filmowych nie jest to popłatny interes. A jednak... warto o tem pomyśleć. Możeby się udało utworzyć jakąś komisję, złożoną z pedagogów, literatów, aktorów; możeby udało się porozumieć z wytwórniami filmowymi i stworzyć polskie filmy dziecięce... filmy, przemawiające do duszy malutkich widzów wartościową treścią, piękną dekoracją, pogodnym nastrojem, humorem, a może i miłą grą młodocianych aktorów, tak często ukazujących się w sztukach dla dorosłych.

Uczyńmy pierwszy krok: stwórzmy „Towarzystwo popierania filmów dziecięcych“.

A może tę akcję udałoby się połączyć z akcją, o której mówią artykuły p. Tropaczyńskiej.

Zaniedbani dotychczas miłośnicy kina: dzieci i lud — nie powinni czekać zbyt długo...

Helena Ryszkowska — Siedlce.

Za i przeciw pracy zawodowej mężatek (w odpowiedzi Częstochowiance).

Kiedy poruszyłam w „Mównicy“ sprawę, czy mężatka ma pracować, odpowiadając p. St. J. P. i Częstochowiance na ich opinie, że mężatka zawodowo pracować nie powinna — myślałam, że sprawa ta wywoła ożywioną polemikę. Tyle milionów kobiet pracuje przecież w Polsce! I naraz przeciwko nim podniosły się głosy, twierdzące, że praca ich musi mieć charakter tymczasowości i dorywczości, boć nie można uważać za inny — nie tymczasowy i dorywczy — zawód, wykonywany aż do.. zamążpójścia.

W międzyczasie naszej polemiki z Częstocho-

*) Miło mi będzie, jeśli się dowiem, że projekt ten znalazł realizatorki.

wianką przybył jeszcze jeden głos — p. J. W. z Zagłębia — która, pisząc w Nr. 20 „Mównicy“ o przygotowaniu kobiet do życia rodzinnego, stwierdziła, że kobieta powinna zawód swój traktować, jako „kapitał rezerwowy“, którego w razie potrzeby, lub w **wolnych chwilach (!)** będzie mogła użyć!!

Przypuszczałam, że na takie argumenty odzwie się która z kobiet pracujących, prócz mnie jednej. Dotychczas tego nie widać, z czego można wyprowadzić dwa wnioski: pierwszy — że sprawa ta jest kobietom zupełnie obojętna, lub drugi — że większość kobiet uważa ją za tak całkowicie przesadzoną, iż o nią polemizować nie warto. Przypuszczam raczej ten drugi wypadek. Życie jest tu tak przemożnym argumentem, że ginie wobec niego wszelka polemika i wszelkie ad hoc tworzone teorje.

To też osobiście tylko pozwolę sobie odpowiedzieć Częstochowiance. Trudno bowiem polemizować z p. J. W. i z jej teorjami wykonywania przez kobiety zawodu w wolnych chwilach. Dobrzeby na tych teorjach wyszła kandydatka o posadę, lekarka, adwokatka i t. p.!

Częstochowianka przyznaje prawo do pracy wszystkim kobietom, twierdzi jednak, że mężatki mogą z prawa tego nie korzystać.

Jeżeli chodzi o pojedynczego obywatela, to istotnie ma on bardzo dużo praw, z których nie korzysta, ale jeżeli chodzi o masę — sprawa przedstawia się zupełnie inaczej. Czy dopuszczonoby jakąkolwiek kategorię obywateli do urny wyborczej, gdyby wiadano zgóry, że z prawa tego korzystać nigdy nie będą? Byłby to prawny, polityczny i społeczny nonsens. Nie można walczyć o żadne prawo, z którego zbiorowisko ma zamiar zgóry nie korzystać. Nie można żądać równouprawnienia ekonomicznego pracy kobiecej, oceny i uznania tej pracy, jeśli się stawia zasadę, że kobieta, po wyjściu z domu, pracować przestanie. Są to już rzeczy tak znane, że zdawałoby się, iż nikogo o tem przekonywać nie potrzeba.

Częstochowianka dzieli pracujące kobiety na trzy grupy: te, które pracują, bo muszą; te, które pracują, gdyż wolą pracować poza domem, i te, które pracują na jedwabne pończochy!

Pozwolę sobie zapytać Szanowne Czytelniczki, czy taka klasyfikacja może być uważana za poważną i czy można z nią poważnie polemizować?

Z taką samą niezbłą pewnością twierdzi Częstochowianka, że domy kobiet, pracujących zawodowo, **muszą** być zaniedbane, dzieci ich **muszą** być źle wychowane, a kobieta pracująca, albo niema radości spełnionego obowiązku, albo, wróciwszy z zajęć, kładzie się na kanapie i czyta i wtedy samopoczucie jej jest lepsze!

Nie, doprawdy podziwiać trzeba, do czego doprowadzić może teorja, do której gwałtem chcemy naginać fakty!

A więc setki tysięcy kobiet-mężatek, pracujących w Polsce — to setki tysięcy zaniedbanych, brudnych domów i źle wychowanych dzieci! To tyleż kobiet, niezadowolonych z życia, lub nie myślących

o niczem, poza swoim odpoczynkiem i leżeniem na kanapie po pracy biurowej! Każdą kobietę, pracującą zawodowo, musi okradać służba! Ciekawe tylko jakie panaceum przeciwko temu okradaniu znajdują kobiety, prowadzące życie towarzyskie, bawiące się — a tych jest też spora ilość, lecz o tych się nigdy w żadnej argumentacji nie wspomina, gdyż nikt nie postawił jeszcze zasady, że dla racjonalnego prowadzenia gospodarstwa, kobieta ma siedzieć bez przerwy w domu! Doprawdy, chwilami można nie dziwić się zbyt, że niema wielu odpowiedzi na tego rodzaju argumenty.

Cóż będą pisały te rzesze kobiet, które, wracając z biura, warsztatu, szkoły, szpitala, odchodząc od dobrze spełnionej i uświadomionej pracy zawodowej z radosnym poczuciem, że wstawiły swoją cegiełkę do społecznej budowli — wchodzą do domu z myślą, że przyczyniły się do podniesienia dobrobytu rodziny, do większej sumy wygod, pomocy naukowych i racjonalnych rozrywek swych dzieci; które, wróciwszy do domu, potrafią jeszcze w krótkiej chwili sprawdzić, czy wszystko jest tam w porządku, a nawet ten dom przyozdobić; które potem odrabiają jeszcze lekcje z dziećmi, a wieczorem umieją znaleźć czas na zebranie społeczne, odczyt, teatr, lub też spędzenie wieczoru w gronie rodziny z dziećmi i mężem, który też przeważnie, po przyjściu z biura, nie leży na kanapie, lecz często bardzo obraca czas na dodatkową pracę, nie na wypoczynek!?

A cóż powiedzieć o tych, które wskutek śmierci lub choroby męża, zmuszone są same na dzieci pracować, a jednak domy ich nie toną w brudzie i zaniedbaniu, a dzieci nie są gorzej od innych wychowane!?

Czyż można się dziwić, że te kobiety nie piszą, nie wdają się w jałową polemikę, skoro za nimi świadczą nie słowa, a czyny, i skoro ich jest, jak się wyżej rzekło, setki tysięcy!?

Istotnie, niema z czem polemizować. To też na zakończenie chcę tylko powiedzieć parę słów w sprawie przytoczonych przez Częstochowiankę dowodów, rzekomo statystycznych. Na zasadzie zebrania danych w **jednej szkole**, w której zdarzyło się, że nauczycielka-mężatka opuściła większą ilość dni w roku, mówi autorka, że ten wywiad „statystyczny” utwierdził ją w przekonaniu, iż mężatki gorzej pracują!

Trudno! przeciwko przekonaniom osobistym protestować nie można! można zato i należy protestować przeciwko argumentowaniu podobną statystyką. W jednej szkole kawaler opuścił 8 dni, mężatka 20. No, a jeśli w drugiej szkole zdarzyło się, że mężatka opuściła 8 dni, a kawaler dostał na przykład tyfusu i opuścił 90 dni, to co?!

Taką statystyką argumentować nie można, gdyż nie dowiedzie ona nigdy niczego. Statystyka — to poważna nauka, oparta na setkach i tysiącach danych, na licznych i pracowitych zestawieniach i wykazach. Racjonalną statystykę pracy kobiecej i jej wyników przeprowadzono między innymi w ostatnich czasach w Ameryce, gdzie w jednym tylko stanie Wisconsin zestawiono na zasadzie dziesięciolet-

nich badań, obejmujących setki zakładów przemysłowych i dziesiątki tysięcy pracowników — tablice statystyczne. Tablice te wykazały, że bez pracy kobiet rozwój przemysłu w tym stanie zostałby zupełnie zahamowany, jak również dostarczyły najszczerzejszych danych, w jakich działach tego przemysłu praca kobiet jest najwydatniejsza, najlepiej się pracującym opłaca i największe przynosi ogólne korzyści.

Taką tylko statystyką można operować na poparcie różnych teorii społecznych.

Walerja Mal...cka z kaliskiego.

Do kogo należą praktyki religijne.

Od dłuższego już czasu toczy się w „Mównicy” ożywiona dyskusja na temat praktyk religijnych w szkołach; ściślej mówiąc, na temat, czy nauczycielstwo szkół powszechnych powinno być obowiązane do prowadzenia co niedziela wychowanków swych na nabożeństwa.

Tyle już czytelniczek zabierało głos w tej sprawie, że trudno mi jest odpowiadać poszczególnie, na zarzuty każdej z osobna; pragnąc również dorzucić moje zdanie, postaram się tylko zbiorowo zanalizować argumenty przeciwniczek i stronniczek uchwały Związku Nauczycieli Szkół powszechnych.

Sprawa nauki i kultury religijnej w szkołach jest bezsprzecznie bardzo ważną i powinna być oświetlona wszechstronnie, ale, co jest nie mniej ważne, — rozumnie i bezstronnie. Tej bezstronności nie widać, niestety, wśród tych, którzy są bezwzględnie stronnikami obowiązku nauczycielstwa prowadzenia dzieci co niedziela na nabożeństwo.

O co bowiem chodziło Z. N. S. P.? — tylko o to, iż w bardzo wielu miejscowościach kościół jest tak oddalony, że, jak to słusznie wykazuje jedna z oponentek-nauczycielek, dzieci nie mogą zdążyć na nabożeństwo; przybywszy do kościoła ze znacznym opóźnieniem, kilkoro z nich zemdlało w kościele. To jest jeden wzgląd — techniczno-terenowy, — ale przyznać trzeba, że w kraju naszym bardzo częsty.

Wysuwa nauczycielstwo i drugi: każdy pracownik ma prawo do niedzielnego odpoczynku, nie należy więc odpoczynku tego jednej kategorii pracowników odbierać.

Przeciwko temu jedna z czytelniczek, Częstochowianka, przytacza argument, że żadna kategoria pracowników umysłowych nie ma w niedzielę zupełnego wypoczynku.

I otóż właśnie takie, nie wytrzymujące krytyki, argumenty są bardzo często przytaczane. Czyż można naprawdę twierdzić, że urzędnicy obowiązani są być w niedzielę w biurach, nauczyciele — w szkołach, adwokaci — w swych kancelariach, inżynierowie — w fabrykach i t. p.? Czyż nie lepiej, i prościej, i słuszniej było powiedzieć, że są pewne zawody wybrane, których przedstawiciele służą bliżnim zawsze, w dzień powszedni i święteczny, bez różnicy, — jak duchowieństwo, lekarze i siostry miłosierdzia? To byłby argument, — tamto jest tylko nakręcaną sztucznie te-

orją. Pozostaje więc do rozstrzygnięcia kwestja najważniejsza: czy nauczyciel świecki jest tym, który wyłącznie i jedynie powołany jest do krzewienia w dzieciach kultury religijnej w całej jej rozciągłości?

Odpowiedzią na to jest fakt, że we wszystkich większych środowiskach istnieją w szkołach katechece, w wyższych nawet klasach szkół powszechnych księży, i że tylko tam, gdzie z powodu warunków technicznych nauka wszystkich przedmiotów spada na jednego nauczyciela, ma on również obowiązek i nauczania religji. A więc **nauczania**, tak samo, jak ogólnych zasad etyki i wychowania, zarówno religijnego, jak obywatelskiego i społecznego, wspólnie z domem rodzicielskim, gdyż bez współdziałania tych dwóch czynników nigdy wychowanie nie wyda właściwych owoców. Najlepszy nauczyciel, najlepszy zespół nauczycielski bez tego współdziałania rodziców i opiekunów młodzieży dobrze nie wychowa.

Dlaczego więc ludzie pobożni i gorliwi religijnie, ani się zatroszczą o przekonania i obowiązkowość religijną rodziców? Przeciwnie, z zupełnym spokojem stwierdzają, że rodzice są częstokroć niedbali, nawet anti-religijni, że dzieci do kościoła nie prowadzą i nie zaprowadzą. Rozgrzeszają ich z tego obowiązku, godzą się na to z lekkim sercem, a cały ciężar i całą odpowiedzialność za wychowanie religijne składają na szkołę? Dlaczego nadto ci wszyscy, którym się zdaje, że religja upadnie, jeśli dzieci z rodzicami, a nie z nauczycielstwem pójdą do kościoła, myślą tylko o szkołach powszechnych, to jest o środowisku szerokich warstw ludności, wśród których naogół religijność gorliwie jest pielęgnowana, a nie troszczą się zupełnie o sfery tak zwanej inteligencji, bardzo nieraz religijnie obojętnej, o szkoły średnie, w których większości (zwłaszcza prywatnych — w miastach), nie istnieje wcale obowiązek uczęszczania uczniów wraz z nauczycielstwem na nabożeństwa niedzielne?

Cała ta argumentacja wypływa z błędnego założenia, że nabożeństwo niedzielne jest ośrodkiem całej kultury religijnej, i że prowadzenie nań uczniów jest wyłącznym obowiązkiem szkoły. Częstochowianka pisze przecież nawet, że gdyby ten obowiązek został w szkole skasowany, to szkoła mniejby sobie ważyła religję od gimnastyki! Widać ze strony obrońców tej zasady bardzo dużo zapału i gorliwości, ale bardzo mało logiki i, trudno, trzeba to powiedzieć: troszeczkę chęci zrzucenia głównego ciężaru wychowania religijnego na nauczycielstwo.

A tymczasem nie tak być powinno.

Najważniejszym czynnikiem wychowania religijnego jest w szkole nauka religji. I dziwić się do prawdy można, dlaczego tak mało mówi się w całej tej polemice o tem, czy nauka ta jest właściwie postawiona, czy nie należałoby zabiegać o to, by więcej było, zwłaszcza po wsiach, specjalistów-katechetów lub katechetek. Najważniejszą zdaje się być sprawa, aby nauczyciel czy nauczycielka poszli z dziećmi w niedzielę do kościoła.

A tymczasem rzecz przedstawia się zupełnie inaczej: szkoła powinna *nauczyć* religji, tak, jak uczy zasad etyki i patriotyzmu, oraz religji, jako nauki, tak, jak uczy innych przedmiotów: praktyki religij-

nej zaś, — zarówno nabożeństwa w dniu świątecznym, jak pacierz poranny i wieczorny dziecka — należeć powinny do rodziców.

N. H. — *nauczycielka szkoły średniej.*

Jak wybrać...

Syn mój, 17-letni uczeń VI klasy gimnazjum państwowego, zdradza zdolności do malarstwa dekoracyjnego i pragnąłby wykształcić się w tym kierunku. W tym celu zamierza po wakacjach rozpocząć naukę w jednej z odpowiednich szkół zawodowych. Ponieważ jestem wdową i znajduję się w skromnych materialnych warunkach (pracuję, jako urzędniczka), chciałabym, aby syn mój wybrał sobie zawód, któryby mu w niedługim czasie pozwolił zapracować na utrzymanie. Czy w danym wypadku możnaby mieć tę pewność?

O ile zdołałam się dowiedzieć, posiadamy w kraju następujące szkoły zdobnictwa: Szkoła sztuk zdobniczych i malarstwa w Warszawie, Wierzbowa 11; szkoła państwowa sztuk zdobniczych i przemysłu artystycznego — Kraków, ul. Mickiewicza; szkoła sztuk pięknych im. W. Gersona — Warszawa, Składowa 3.

Czy która z łaskawych Czytelniczek „Bluszczu” mogłaby mi udzielić informacji, która z tych szkół byłaby najodpowiedniejsza, ewentualnie wskazać adresy innych szkół zawodowych tego typu?

Matka.

Może dobre lekarstwo (w odpowiedzi p. Stefanji R. z N...).

Serdecznie Pani współczuję w jej osamotnieniu w takiej nieciekawej mieścinie i chciałabym dopomóc choć dobrą radą. Czy będzie dobra? Niech Pani spróbuje. Otóż, mojem zdaniem, ludzi, zwłaszcza mało wyrobionych społecznie i niezdecydowanych do zaczęcia jakiejś akcji, trzeba odrazu... zaprząć do pracy. Wyda się to Pani może dziwnym paradoksem, a jednakże tak jest i sama wielokrotnie tego doświadczyłam. Tam, gdzie są jednostki gorliwe i uspołecznione, można rzucić pomysł, dać inicjatywę — potrafią wykonać. Natomiast różnym „niedołęgom” (przepraszam, że się tak nieparlamentarnie wyrażam o Pani środowisku, ale sama Pani tego wyrażenia użyła) trzeba dać gotową robotę. Obmyślić sobie cały plan — czy to będzie założenie czytelnicy, czy stowarzyszenia, czy szwalni — zastanowić się nad swemi znajomymi, do czego która będzie najlepiej się nadawała: czy do zbierania funduszków, czy do reprezentacji, czy do pracy wewnętrznej, gospodarczej — i porozdawać role — jak w teatrze amatorskim. Przy dobrej znajomości środowiska i pewnej dozie obserwacji charakterów, uda się to Pani napewno. Ludziom trzeba często coś narzucić, skoro sami nie mają inicjatywy i chęci. Niech mi Pani wierzy, iż kilkanaście razy już tak próbowałam i zawsze mi się udało.

Niech się Pani podzieli z nami rezultatem swych planów — mnie osobiście bardzo zaciekawia, czy się Pani uda coś zdziałać. Serdecznie życzę powodzenia.

Wiktoria M...—Ostrów.